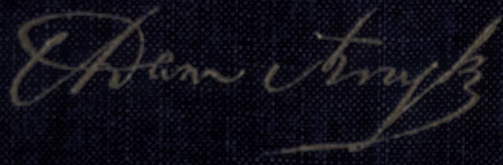

PG
7158
A9
1916
t.2

PISMA.

ADAM ASNYK

(EL...Y).

PISMA

WYDANIE ZUPEŁNE.

W UKŁADZIE I Z OBJAŚNIENIAMI

F. HOESICKA I W. PROKESCHA.

POPRZEDZONE ŻYCIORYSEM I CHARAKTERYSTYKĄ POETY

Z KILKOMA PORTRETAMI.

TOM II.

WARSZAWA 1916.

NAKŁADEM KSIĘGARNI F. HOESICKA.

PG
7158
A9
1916
t.2

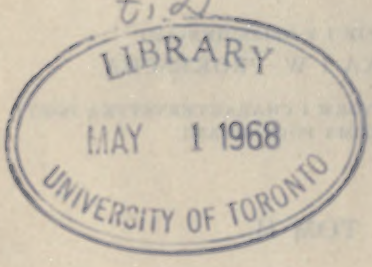

Czcionkami drukarni Literackiej w Krakowie,
pod zarządem L. K. Górskiego.

SEN GROBÓW.

I'non so ben ridir com'io v'entrai:
Tant'era pien di sonno in su quel punto,
Che la verace via abbandonai.
L'inferno. Canto I.

SEN GROBOW.

I.

W posępną nocy zaszedłem krainę,
Po śniegu, co się usuwał podemną —
I przez powietrze zmrożone i sine,

Które zawisło nad przepaścią ciemną,
Rzucałem trwożne spojrzenia w pustkowie,
Bo czułem trwogę w mej piersi nikczemną.

Włos mi się jeżył przymarzły na głowie,
Na duszę dziwna przerażeń zmartwiałość
Spadła i skrzydła rozpostarła sowie;

I oślepiała mnie ta śniegu białość,
I obłąkały mnie te nocne cienie,
I upajała mnie ta skamieniałość:

I to zamarłej pustyni milczenie
Zdało się łamać we mnie życia prawa:
Byłem jak ciemność, rzucony w przestrzenie,

I nie wiedziałem, czy to sen, czy jawa;
O bycie własnym wątpiąc, zniecstwiony,
W białym tumanie, jak znikomość mgława

Niknąc, leciałem tym wirem niesiony
Bez tchu, pamięci, w milczące otchłanie,
Spowity w śnieżnej zamieci osłony.

Ani to blade poranku świtanie
Nadeszło ująć martwości złowrogiej,
Co z chłodnych puchów utkała posłanie

Zniknionej ziemi, ani wśród tej drogi
Do zatracenia podobnej odmętów,
Nie rozdarł ciszy żaden szmer ubogi.

I nawet echa dalekich lamentów
Nie biegły świadczyć o istnień ruinie,
Strąconych z życia powierzchni bez szczętów.

W tej niezmierzonej ciemności godzinie
Czasu już długa przeciekała wieczność,
A nieruchome nicestwa pustynie

Nie przyszła mierzyć codzienna słoneczność
Zwyczajnych światów, i noc nieskończona
Trwała — jak trwania ostatnia konieczność.

Zrazu myślałem, że mnie ból pokona,
Że mnie wstręt zdławi, a przestrach oniemi,
I że ta próżnia niebios potępiona,

Co bez powietrza zda się i bez ziemi,
Mnie w nieruchome opasawszy skręty,
Z cieniami tylko porówna czarnemi,

I że w tę straszną ponurość wsiąknięty,
Utonę głucho bez łez i bez jęku,
Zaprzepaszczony i w mgły rozpierzchnięty.

Lecz i ten koniec nawet, pełen wdzięku,
Wobec ohydy upiornego bytu,
Jak widmo z światów dobyte rozdźwięku,

Pierzchał przedemną wśród męczarń przesytu,
I wciąż płynąłem, jako rzecz bezwładna,
Przeciw ciemnemu nicestwa korytu.

Otucha mnie też nie karmiła zdradna,
Bom się czuł skonań — myślą pogrobową,
Dla której przyszłość nie świeci już żadna;

I całą przeszłość niosłem bezechową
Na barkach swoich — w kraje bezpowrotne,
Rozpamiętując jej umarłe słowo.

Dalej więc, przez te wybrzeża samotne,
Przez mgieł powodzie, przez zaspy śniegowe,
Przez niebios brudne plamy i przez błotne

Zacisza bagien, przez stepy jałowe,
Gorzkie jeziora, piaszczyste wydmuchy
Pędziłem — chmury roztrącając płowe.

Pytałem tylko siebie, gdzie są duchy
Z rozbitych siedzib na wieki wyparte?
I zatraconych światów gdzie okruchy?

Wszystko zostałoż bez śladu zatarte?
I żadneż widmo nie przyjdzie mnie trwożyć,
Na swoje piersi wskazując rozdarte?

Z plemion, co jutra nie umiały dożyć,
Nie pozostałoż śladu nawet w próchnie,
Cobym na sercu swojem mógł położyć?

żaden z lodów płomień nie wybuchnie,
Coby mi wskazał grobów tajne nory,
Gdzie ton harfowy padł — i w kirach głuchnie?

Żadneż się nawet nie zlęgną potwory
Z mętnych zapłodnień, zgnilizn i kałuży,
Coby przeznaczeń złamawszy zapory,

Powstały straszne wśród mogilnej burzy?
Ale nic — jedno, wielkie, uroczyste,
Co się nie błyska nawet i nie chmurzy,

Przestrzenie sobą wypełniło mgliste;
A jam je musiał, do dna mierząc wzrokiem,
Za swe dziedzictwo przyjąć — i wieczyste.

Krusząc się pod tym haniebnym wyrokiem,
Przypominałem stracone obrazy,
Gdy tęcze grały nad życia obłokiem,

Gdy nawet z łomów dźwigały się głazy,
A rozbujane w takt Amfionów pieśni,
Spełniały proroctw szalone rozkazy.

Przypominałem, jak szli ci boleśni.
Rozmiłowani w szumie gęstych borów,
Płaczących Dryad kochankowie leśni,

Wrzosom rumianych użyczać kolorów,
Uśpione echa budzić z wschodem słońca,
Aby gemonie zyskać gladyatorów;

I w oczach moich gwiazda spadająca
Stopiła lawin zimowe obroże,
I poruszyła się fala milcząca

I odsłoniła mi umarłych zorzę,
Co się na ciemnych rozpostarłszy sferach,
Usłała śmierci koralowe łoże;

I jako próchnik, błyszczący w eterach,
Rozbłękitniła grobów sen miesięczny,
Ledwie widzialny w gwiaździstych szpalerach.

Więc znów ujrzałem świat ten tyle wdzięczny!
W harmonii, wieczną uświęconej ciszą,
Tracący życia koloryt niezręczny —

I otrząśnięty z tych łez, które wiszą
Nad ziemskich piekieł nieustanną wrzawą,
Aż w sobie piorun dla nich wykołyszą.

Mieniąc się barwą opalów jaskrawą,
Stanął przedemną, jak anioł, co klęknie
Ponad kołyską sierocą i łzawą

Patrzeć: czy serce dziecięcia nie pęknie,
A z róż niebiańskich niosąc mu kolędę,
Ani go zdziwi, ani też przelęknie.

Miłość ma swoją słoneczną legendę,
Co wspomnień zerwać nie daje łańcucha,
Mówiąc sierotom: „Ja matka przybędę

„Słuchać tych żalów, których nikt nie słucha.
„Nie wierzcie temu: że nas teraz dzieli
„Niezapełniona niczem przepaść głucha".

Więc i ja z martwej podniesion topieli,
Kłamstwo zadałem śmiertelnej rozłące
I w to wierzyłem, co mówią anieli.

O jakież zdroje czyste i szemrzące,
Wiosennych kwiatów podsycają wonność,
Między olchami ściekając po łące,

Melancholijną wierzb płaczących skłonność
Łagodząc Najad pieszczonym językiem,
Głoszących ślubów przeżytych dozgonność;

I złotym jaskrów błyszczące płomykiem
Pomiędzy gaje biegną i ogrody,
Prowadzić nocne rozmowy z słowikiem.

Po nad cichemi rozstawione wody,
Na wzgórzach spiętych dzikiej róży krzewem,
Bieleją wiosek ubogie zagrody:

Kołyski marzeń dziecinnych, gdzie śpiewem
Porwane myśli lecą ponad błonie,
Ponad zielonym przyszłości zasiewem.

Ta niemowlęca świętość, co tu wionie,
Prześniła wieki czysta, nieskażona,
Jak perła w muszli zachowana łonie;

I nie wie nawet, gdzie jest pogrzebiona
Ciężka spuścizna, którą przyjąć trzeba,
Rzucając w ziemię ojczystą nasiona.

Dość jej na dzisiaj ojczystego nieba,
I dymiącego ojcowizn ogniska,
Sosnowych borów i czarnego chleba.

Gaje i chaty! jasne zdrojowiska!
Zielone łąki, wysmukłe topole!
I na rozstajnych drogach wśród urwiska

Omszone krzyże w cierniach! was pacholę
Widziałem w tęczy migającej rąbku,
A dziś was widzę strojne w aureolę.

O lilio czystych krynic! o gołąbku
Opróżnionego gniazda! drzewko krasne,
Wieńczone krwawą jagodą jarząbku!

Widzieć cię jeszcze, nim na wieki zasnę,
Ach! dozwoliły mi anioły złote,
I pod twe stopy rzucić serce własne.

Wy, cienie! w jasną odziane prostotę,
Coście rycerskiej zbyły się kolczugi,
A krwi rycerskiej lejecie szczodrotę,

Kapłany gruzów! twarde krzyża sługi!
Raz jeszcze padnę wśród was na kolana —
Zanim przekleństwo rzucę na wiek długi.

Przez niebo wasze dziś rozmiłowana,
Błądząca dusza zapomni o gniewie,
Bo ojców swoich szuka rozpłakana.

Wy, jak cyprysy naszych pól — modrzewie,
Stoicie smutnie w opróchniałej korze,
W niezrozumiałym dziś gwarzące śpiewie.

Przy was mą harfę wędrowną położę,
Niechaj jęk wyda strzaskana przez gromy,
Co w wieczność waszą wróci bez klątw może...

Lecz cicho teraz! bo przez świątyń łomy
Widzę żałobny wpół, a wpół weselny,
Ciągnący orszak duchów mi znajomy,

Wzniosły i święty, jako hymn kościelny,
Co się wylewa w ekstazie ofiary.
Czy prawdą jesteś? o ty nieśmiertelny

Zawiązku kwiatów niewygasłej wiary,
Co bez owoców z drzewa życia spadasz,
Jak niedośniony tryumf nocnej mary;

Lecz ani barwy wiosennej postradasz,
Ani cię splami rozpacz, albo trwoga,
Ziemi ci braknie, lecz niebo posiadasz,

I tak ci przyszłość zaświatowa droga,
Że otrząśnięty w girlandach przedwcześnie,
Z ochotą lecisz kwitnąć w ręku Boga.

Prawdą ach! dla mnie, co powtarzam pieśnie,
Przebrzmiewające w tylu piersiach rannych,
Com się obłąkał w ciemnościach i we śnie,

I tum was znalazł w jutrzenkach porannych,
Przez drogi mlecznej zamgloną gwiaździstość,
W pragnieniach do was lecąc nieustannych.

Prawdą jest dla mnie ta dziewicza czystość,
Z którą płyniecie w światy idealne,
Jak meteorów różana ognistość.

Serca! grobowców prochami zapalne,
Anielskich kwiatów upojone wonią,
Ogniki tylko w cmentarzach widzialne...

Do was przychodzę z połamaną bronią,
I z zasłoniętem rękami obliczem;
Z wami zgubiłem duszę — idę po nią...

Kwitnienie wasze będzie tajemniczem
Dla światów, zgiętych nad codziennym plonem —
Lecz w opadnięciu cichem, ofiarniczem

Pod Chrystusowe nogi wczesnym zgonem,
Spoczywa natchnień nieujęta siła,
Co świat nastraja nadzmysłowym tonem.

Cóż? że się w drżeniu eterów ukryła,
I błądzi srebrna po księżyca sierpie...
Do niej się będzie zwracać ziemska bryła,

I brać swe blaski nie wiedząc zkąd czerpie;
Aż zwyciężona zgryzotą duchową:
Wstań ideale! zawoła, bo cierpię.

Tu przed oczami mojemi na nowo,
Widzę was wszystkich, wieńczonych jemiołą,
Co jest odrodzeń godłem, jak w różową

Toniecie światłość i wieśniacze sioło,
Niby betleemską narodzin stajenkę,
Rozpromieniacie gwiazdami w około.

O! stójcie jeszcze... lecz rajską jutrzenkę
Pokryła ciemność, lecąca w odmęty,
I położyła mi na duszy rękę —

Wtedy się chyląc zwolna, jak kwiat ścięty,
Co kładzie twarz swą smutną na mchy rdzawe,
Jeszcze nie zeschły, ale już zwiędnięty,

Przybrałem cichą umarłych postawę,
I chciałem zabić myśl i zamknąć oczy
Na wszelką boleść i wstyd i niesławę.

Gdy w tem mnie chmura ciemniejsza otoczy;
Z tej chmury skrzydeł wynurzy się dwoje,
I mnie cudownem zjawiskiem zaskoczy;

Aż nagle chmurne odrzuciwszy zwoje,
Zstąpił przedemnie jakiś rycerz hardy,
W wieczyste duchów zaprawiony boje.

Jak płomień jasny, a jak marmur twardy,
Nieugiętością zbrojny nie puklerzem,
Mierzył mnie wzrokiem spokojnej pogardy.

Dał mi znak, a jam powstał przed rycerzem,
Niewzruszoności dziwiąc się kamiennej,
Którą my ludzie za nieczułość bierzem,

A którą gdy duch napełni płomienny,
To jest królową światów, które kruszy,
Jedynie godną dzierżyć rząd niezmienny.

Ze czcią patrzałem, cichy syn pastuszy,
Na tę książęcą postać gromowładną —
Co się nie ugnie w gromach i nie ruszy,

Co nie rozbroi się litością żadną,
I póty miecza do pochwy nie włoży,
Aż wyrok spełni nad temi, co padną.

Poznałem, że to jest posłaniec boży,
Choć, kto on, jeszcze nie odgadłem zrazu,
Wpół oślepiony blaskiem tamtej zorzy —

I tylko w jego źrenicach z topazu,
Czytałem straszną, świat łamiącą siłę,
Której nie myśli braknie, lecz wyrazu.

Tak w dociekania pogrążon zawile,
Straciłem z oczu, z serca i z pamięci,
Teraźniejszości zniknioną mogiłę.

Jakby zgadując niewyraźne chęci,
Duch ten swój oddech w ludzkie ubrał słowa
I rzekł po trzykroć: „Przeklęci! przeklęci!

„Przeklęci! których jutrzenka grobowa
„Kołysze do snu, do łez i nicości,
„I żywcem w łonie potępionem chowa;

„Dla takich Bóg sam nie znajdzie litości,
„Bram im przyszłego życia nie otworzy,
„I twarz odwróci swoją od ich kości.

„Bo kto do tyla duszę swą zuboży,
„Że już z niej zetrze nieśmiertelne piętno
„I dobrowolnie w prochach się położy,

„Jak samobójca pierś splamiwszy smętną —
„Wart, by go zdeptał praw skrzywdzonych mściciel,
„I nawet pamięć jego będzie wstrętną.

„Ja nie przychodzę jako pocieszyciel
„Zatruwać przyszłość miłością zgnilizny,
„Ale sąd niosę, wszechwładny niszczyciel —

„A miecz wyroków wolny od trucizny
„Jest obosiecznym, i zadając ciosy,
„Zasklepia razem ciężkie wieków blizny.

„Długo was pieścił Cherub złotowłosy,
„I nad lichemi próchnami się bawił,
„Wmawiając wielkość w strzaskane kolosy,

„A przecież z gruzów kolumn nie wystawił,
„I życia nie wlał w umęczone prochy,
„Tylko je w tęczy krwawej przez świat spławił

„Mistyczną pieśnią napawając śpiochy,
„A odurzone siedmiu niebios blaskiem
„Rzucił w ciemności ów aniołek płochy.

„Ja więc przychodzę jako burza z trzaskiem
„Deptać doszczętnie zgniecione owady,
„Połowicznego istnienia obrazkiem

„Zadowolone, byle ujść zagłady,
„A życiu, które wyższych szczebli sięga,
„Dziś krępujące usunąć zawady.

„Oto jest moja tajemna potęga!
„Co ma odnawiać bezpłodne ugory,
„I oto jarzmo! w które ludy wprzęga.

„Chodź za mną! w świat ten gnijący i chory,
„Przez drogi pełne klątwy i rozpaczy,
„Między skowane w łańcuchach upiory,

„Pomiędzy również upiornych siepaczy,
„Brodzących we krwi, którym wciąż się zdaje,
„Że o nich przyszłość świata się zahaczy.

„Chodź za mną! w znojów nieprzebranych kraje:
„Lepsze są one, niźli wyobraźni
„Kłamliwych widzeń utracone raje.

„Niech cię nie straszy długość ciężkiej kaźni,
„Ani zasmuca wierzchnej pleśni zgniłość.
„Stąpaj bez wspomnień, żalu i bojaźni,

„I zerwij dawną z grobami zażyłość,
„I całą przeszłość marzeń chciej zostawić,
„Aby cię znowu nie zbłąkała miłość.

„To, co upadło, musi w rdzy się strawić,
„I pod martwości szatą taić skrycie,
„Bez próżnych pokus, aby siebie zbawić —

„Nienadwątlone niczem nowe życie,
„Któremu niańczy grób ten, jak kołyska,
„Nim niemowlęce odrzuci spowicie,

„I rzeczywistą siłę lotu zyska.
„Niech więc nie jęczy cichy proch człowieczy
„Pod stopą, co go depcze i uciska,

„Bo odrodzenie światów ma na pieczy
„I z woli Bożej zostaje deptany,
„Która mu tryumf ojcostw zabezpieczy.

„I ty więc losów nie pragnij odmiany,
„Nie żądaj nigdy łaski, ni przebaczeń".
„»Kto ty?«" — spytałem „»duchu niezbłagany!«"

A on mi na to: „Jam anioł przeznaczeń".

II.

Gdzie niegdyś duchom poczynione szkody
Mierzyłem bólem połamanych skrzydeł,
Tam dziś, cierpiące odwiedzać narody

Szedłem spokojny pomimo straszydeł,
Pod wodzą mistrza, co z ciemnej otchłani
Wysnuwał tęczę krwawych malowideł.

Przywędrowałem do smutnej przystani,
Skąd odbijają od ziemskiego lądu,
Na niemoc ducha i hańbę skazani.

Zastałem tłumy czekające sądu,
Co jak spłoszone stada nocnych ptaków,
Wzdłuż huczącego wzlatywały prądu.

Tyle tam było przeklętych orszaków,
Żem się aż cofnął z grozy i zdziwienia,
Poznając wszędzie braci i rodaków:

I naraz wszystkie głosy utrapienia
Podziemia jaskiń napełniły zgrzytem,
Aż echem piekieł odwrzasły przedsienia.

Rozpaczy straszna pieśń, ponad rozbitem
Ciał rumowiskiem wzięła wszystkie tony,
I urąganiem męczarnią dobytem,

Związała jęków niesfornych miliony,
I tak nad duchów kolumną powietrzną
Jakoby sztandar wiała potępiony.

Chociażem wzgardę poślubował wieczną
Dla istnień światom wymiecionych z drogi,
Przecież ujęty zgryzotą serdeczną,

Zadrżałem z bólu, litości i trwogi,
Słysząc tę skargę na wieczność rzuconą,
I o piekielne odtrąconą progi.

Zachód się palił łunami czerwono
I w purpurowym ogniu szpetne głębie
Rozpościerały tajemnicze łono:

Ja szedłem dalej po skalistym zrębie
Między pierzchliwych widziadeł orszaki;
W tem otoczyły mnie wieńcem gołębie.

Spojrzałem zdziwion na te czyste ptaki,
Białe, od krwawych promieni różowe,
Gdy, roztopione wprzód w powietrzne szlaki,

Jak róż girlanda spadły mi na głowę...
Zkądże, myślałem, ich niewinne loty —
Pokierowane w gwiazdy zodjakowe

I w słońc promiennych wplecione obroty —
Tu je przyniosły, od biegu omdlałe
I gnane wichrem anielskiej tęsknoty?

Czem zawiniły te latawce białe?
Że na tym smutnym znalazły się brzegu,
Skąd niema wyjścia już na wieki całe.

Ach! nie na takim spoczywać noclegu
Żeglarzom nieba najczystszych błękitów,
I łamać skrzydła jaśniejsze od śniegu

Na ostrzach łzami wzrosłych stalaktytów,
I ślepnąć w blasku podziemnych płomieni
W owej krainie zatraconych bytów!

Kiedym to myślał, stada srebrnych cieni
Porład burzliwe zniżyły się fale,
I piły chciwie z ich czarnych strumieni

Gorycz, co na śmierć upaja — i w szale
Krwawiły piersi, lecąc obłąkane,
I siadły dumać na nadbrzeżnej skale.

Ztamtąd, wpatrzone w pożary rumiane,
W podziemnych ognisk jaskrawe wytryski,
Myślały może jasnością oblane,

Że się rumienić poczyna świt bliski; —
Bo wszystkie naraz zerwały się lotem,
W płomiennych wężów duszące uściski

Spływając, chwilę purpurą i złotem
Migały w blasku ubarwionej szaty,
Aż znikły wszystkie pod dymu namiotem.

I tylko pieczar ponure komnaty
Wstrzęsły się śmiechu szatańskiego wrzawą,
Gdy się posypał cichy proch skrzydlaty.

Zanim się nad tą zadumałem sprawą,
Rzekł mi przewodnik: „Widziałeś tę marną,
„Za poświęceniem goniącą i sławą,

„Czeredę sylfów, czystą i ofiarną,
„Co chciwie napój wysącza boleści
„I w płomień ciska duszy swojej ziarno?

„Ich trwanie, ziemskiej pozbawione treści,
„Jest jednym ciągiem pragnień i niemocy,
„Błyszczy się chwilę i ginie bez cześci.

„Pokój im! w cichej zapomnienia nocy,
„Ich jest królestwo pośmiertnej pogody,
„Aż je odkopią grabarze północy".

Umilkł, — i szliśmy dalej ponad wody,
Co rozwścieklone z rykiem nawałnicy
O skał się tłukły granitowe spody;

Przed nami sterczał najwyższej iglicy
Lodowy cypel, zatopiony w chmurze;
I opasany wstęgą błyskawicy,

Jakby umarłej panując naturze,
Wstrząsał się cały wulkanicznym grzmotem,
I głuszył ryki odmętów i burze.

Tam! walcząc z urwisk wstrząsanych wywrotem,
Pełznąc po głazach strącanych od gromów,
Nie zastraszony burzą, ni łoskotem,

Po ostrzach lawy i ostrogach łomów
Piąłem się zwieszon na przepaści krańce,
Jak atom wobec lodowych ogromów;

I tylko wichry — pustyń wychowańce,
W ślad mojej drogi wyły po rozdrożach,
Szturmując z lawin usypane szańce,

Lub się błąkając w lodowatych morzach;
Tylko potoki — z rozdartego łona,
Olbrzymią raną po kamiennych łożach

Rzucały wody huczącej brzemiona,
W zakryte oczom tajemnicze cieśnie,
Skąd tylko pary powiewna zasłona

Zraszała skalne porosty i pleśnie;
Tylko pędzone wichrem mgły przelotne,
Niby widzenia pochwytane we śnie,

Biegły po szczytach w przestrzenie samotne,
A wypełniając bezdenne obszary,
Porozwieszały swe płaszcze wilgotne.

I dalej — coraz przepaścistsze jary
Porozgradzały straszliwe przystępy,
I coraz bardziej tonęły w mgle szarej

Ciemnych granitów poszarpane strzępy;
Tak, że nareszcie za mną i przedemną
Góry, przepaści, lawiny, skał kępy,

Stopniały wszystkie w nieskończoność ciemną —
Już blisko celu, i srebrzyste ostrze,
Co pracą ogni wewnętrznych podziemną

Rzuciło w błękit swe dymiące nozdrze,
Wkrótce w ostatnim zdobyte okopie,
Pod stopą moją widnokrąg rozpostrze.

Jestem — i chyba w błękit się roztopię;
W pół przechylony w przymglone powietrze,
W gasnących świateł opływam potopie,

I łowię wzrokiem te barwy wciąż bledsze,
Co w nowe coraz zlewają się tony,
Zanim je wszystkie ręka nocy zetrze.

Zrazu nic widzieć nie mogłem olśniony:
Niebo i ziemia, w szalonym zawrocie,
Spływały w jeden łańcuch nieschwycony,

I w nierozdzielnym powiązane splocie,
Gór rusztowania, niebieskie przestworza,
Doliny ledwie widzialne w przelocie,

Srebrne wód spadki i błyszczące morza,
Migały naraz przed zdumionem okiem —
A nad tem wszystkiem jedna wielka zorza.

Od strony morza, nad urwiska bokiem,
Obok krateru, co wieczyście płonie,
Osłonion dymu przejrzystym obłokiem,

Ze łzami w oczach, w błyskawic koronie,
Na piedestale, z złotą harfą w ręku,
Siedział lutnista na obłocznym tronie;

Nogę swą oparł na liktorskim pęku,
I drżącą rękę kładł na złote struny,
A harfa jego orężnego szczęku

Pełna, a dla niej przygrywką — pioruny.
Posąg to w przyszłość obrócon daleką,
Zagadkowemi wypełniony runy [1]);

Przed nim duch ludu trzaska trumny wieko,
A obleczony szatą purpurową,
Na krwawe strugi spogląda, co cieką.

---

[1]) Juliusz Słowacki.

Dalej Polelum, pod jutrznią tęczową,
Na piersiach brata umarłego trzyma,
Trupią dłoń jego wznosi ponad głową,

I u chmur żebrze piorunów oczyma [1]).
Obok na stosie strzaskanych oręży
Przy popielnicy z prochami olbrzyma

Dwie dziewic: jedna wstrząsa kłębek węży
I nóż skrwawiony, jak Nemezys gniewna,
Woła: „Kto za mną, nim umrze zwycięży [2])".

Druga, w liliowym wianku lutnia śpiewna,
Wiatrom się skarży, że nad sercem ludu
Więcej ma władzy płaczącego drewna

Nieczuły kawał i nadzieja cudu —
Niźli królewska boleść, stos ofiarny
I cała przyszłość spodlenia i brudu [3]).

A z drugiej strony tętni jeździec czarny
I całun śniegu piersią konia kraje,
Zwrócony biegiem ku gwieździe polarnej

[1]) Lelum i Polelum, synowie Derwida, bracia Lilli i Rozy Wenedy z tragedyi Słowackiego *Lilla Weneda*
[2]) Roza Weneda.
[3]) Lilla Weneda.

Grzmiąco przyzywa: „Kto rycerz niech wstaje!" [1])
Tak coraz dalej wokoło lutnisty
Widziałem całą białych widem zgrajc,

Zarysowaną z lekka w wieniec mglisty,
Który wypełniał ciemne tło obrazu,
Składając jeden długi sen kwiecisty.

Wpatrzony stałem na krawędzi głazu,
Nie śmiejąc skłócić powietrza westchnieniem,
Nie mogąc znaleść w swych ustach wyrazu

W zachwycie przed tem cudownem widzeniem;
I chciałem wżyć się tę całość natchnioną,
A naznaczoną piekielnem znamieniem.

Nie łatwo walką duszy swej szaloną
Rozgrodzić niebios i piekieł potęgi,
I stać na szczycie bólu przed zhańbioną,

Na zatracone patrząc widnokręgi,
Zachować dumy błyskawiczny wieniec
Nie łamiąc Bogu czynionej przysięgi.

Ten więc przedemną wielki potępieniec,
Co deptał światów zwyczajne porządki
I duchom wstydu wypalił rumieniec,

---

[1]) Rycerz z *Anhellego* J. Słowackiego.

Gnając je myślą w genetyczne wrzątki,
W apoteozie swej posępnej doli,
Jaśniał, jak niebem gardzące wyjątki.

Ach! wobec niego korząc się — powoli
Traciłem dotąd niezłomną pogodę,
Chciałem się wyrzec narzuconej roli,

Na wszystkie ciosy mieć znów serce młode,
I walcząc przeciw naznaczonym sądom
W piekielnych ogniach walki wziąść nagrodę.

Bo któż się może oprzeć takim prądom,
Co rozrywają zasklepione rany!
Któż może nędzy niezmiennej zarządom

Spokojnie duch swój powierzyć stroskany?
Z wytkniętych torów nigdy nie wykraczać,
By nieomylnej doczekać wygranej?

Gdy tak sam z sobą bój począłem staczać,
Wtopiony wzrokiem w chmurną postać mistrza,
Wichry przybiegły po lutni rozpaczać,

I coraz bardziej burzliwa i mglistsza
Fala harmonii spłynęła w błękity,
I niebios coraz jaskrawość ognistsza

Porozciągała swe płonące świty,
I coraz więcej ciemniały ku górze
Bezksiężycowe posępne zenity.

Tymczasem wulkan w płomieniste róże
Ubrał się cały — i hukiem podziemnym
Wraz z piorunami, które słały burze,

Wtórował pieśni natchnieniom tajemnym;
A z dołu jeszcze pod olbrzymią skałą,
Rozbijające się na pasie ciemnym

Morze odmęty swoje rozkiełznało
I z bezkrańcowej wyjącej przestrzeni
Trzecią pieśń straszną do wierzchołka słało.

Jakby za danem hasłem, potępieni,
Zaczęli z tajnych wychodzić kryjówek.
Była to chmura połowiczych cieni,

Co pozbawiona rąk i trupich główek,
Z grobowców nagie szkielety wywlekła,
Do rozpaczliwych zagnana wędrówek.

Straszna je wiedźma po ramionach siekła,
Pędząc jak trzodę przez płomienie żrące,
By nie uciekły na dno swego piekła.

Tylko się kości kurczyły płaczące
I w łez przydrożne padały kałuże,
Chcąc tam swe rany ochłodzić piekące.

I ani całej zgrozy nie powtórzę,
Jak wypraszały się widma od męki,
Z jaką niechęcią pełzły pod to wzgórze,

Zkąd brzmiały harfy piorunowe dźwięki,
I jak bolesnym przejmował mię wstrętem
Ten trupi zastęp bez głowy i ręki.

Przyszedł nareszcie i w kole przeklętem
Naprzeciw mistrza rozpostarł się tronu;
Tu, jakby pieśni porwany zamętem,

Stracić miał pamięć haniebnego zgonu,
Cały się łańcuch ożywił występny
I w takt dzikiego kołysał się tonu.

Z trwogą patrzałem na taniec posępny,
Na te szkielety, wsłuchane ciekawie
W tok pieśni dla ich bytów niedostępny;

I kiedy lutnia zagrzmiała o sławie,
Żywiej zabłysła ich próchen bielizna
I w wojowniczej stanęły postawie.

A kiedy lutnia wyjękła: „Ojczyzna",
Poodrzucały swe skrwawione płótna
I silniej od nich wionęła zgnilizna.

Gdy coraz bardziej pieśń szalała smutna
W pourywane chaotyczne spadki,
Na ziemię padła czereda pokutna

I wszczęła wyciem głośno wzywać matki!
Aż dreszcz przejmował patrzeć na te wstrętne
Spruchniałych kości skrzypiące ostatki,

Jak się w targania rzucały namiętne,
Jak się przykrzyły niebu swemi modły,
I o zniszczenie błagały doszczętne.

Długo się w bolach pasował proch podły,
Nim się odważył powstać o swej sile,
I tam, gdzie harfy natchnienia go wiodły,

Iść — na wiekowej oprzeć się mogile;
Lecz przy odgłosie wulkanicznych grzmotów
Zerwał się przecież — i wrzeszcząc opile

Straszne przysięgi składał, że już gotów.
Ruszyły naprzód, te krzywoprzysiężne,
Roznamiętnione do niezwykłych lotów

Mary wpółsenne, liche, niedołężne,
Gnane boleścią, przestrachem, rozpaczą,
Jako upiorów hufce bezorężne;

I kędy orły nad grobowcem kraczą,
I kędy tylko nad przepaści łonem
Porozwieszane czarne świerki płaczą,

W miejscu, grobową ciszą uświęconem,
Na okrwawiony szaniec uroczyska
Biegły ohydne za nikczemnym zgonem.

I wnet się smutne zatrzęsły zwaliska
I cichych westchnień przedarły się tony
I w głębi lochu trumna, czy kołyska,

W gwiazd się jaśniejsze przybrała korony
I całą martwość grobowego świata
Oświecił z góry księżyc przerażony.

Srebrna mgła, duchów niewidzialnych szata,
Rozfalowana tajemniczem drżeniem,
Ponad grobami zawisła skrzydlata,

Trącana widzeń wzlatujących tchnieniem;
A na niej blade zakwitły postacie
Narysowane miesięcznym promieniem.

I pełno było w tej obłocznej szacie
Zaledwie przeczuć dających się szmerów,
O pohańbionym teraz majestacie

Rozmyślających dawnych bohaterów;
I pełno wonnych przeszłością podmuchów,
Z nadziemskiej sfery płynących eterów.

Coraz się więcej rozszerzał krąg duchów,
Jakby się wieków otchłanie otwarły,
Jakby się wydarł ze swoich łańcuchów

I tu na świadka stanął świat umarły,
W tej sybilicznej nocy zatracenia,
Z pogardą patrzeć na bezgłowe karły.

Wszystkich żywiołów zmięszały się tchnienia,
I wszystkich potęg nadzmysłowych straże
Przyszły do ziemi szturmować sumienia,

A rozgrzebując milczące cmentarze,
Zajrzeć w ludzkości zapleśniałe serce,
Czy nic — prócz pleśni — więcej nie pokaże.

W takiej szalonej widziadeł rozterce
Trwoga i boleść wiały nieskończone,
Jakby w przeklętej od nieba szermierce

Miały być struny przeczuć potrącone,
I w rozstrzygnięciu krwawego dramatu,
Po za tryumfem piekieł nieskażone,

Wschodzące słońce, miało wskazać światu,
W długim szeregu zatraceń i zniszczeń,
Od legendowych rajów Eufratu,

Drogę — wśród ciągłych bojów i oczyszczeń —
Do tej anielskiej ojczyzny wszech ludów,
Co wolna, w chwili osiągniętych ziszczeń

Spłynie z rozbitej dziś kolebki cudów.

EPILOG DO SNU GROBÓW.

O! jakże trudno pierzchłe już obrazy
Do życia z sennych krain przywoływać!
I jakże smutno ciemne duchów skazy

Z zasłony, którą śmierć rzuca, odkrywać,
I po przepaściach łowić epos bladą,
I co zawiera męki odgadywać!

Czyż się nie cofnąć? raczej przed gromadą,
Co winy swoje w inne światy wlecze,
I gdy się żywi do spoczynku kładą,

Jeszcze w ciemnościach gdzieś krzyżuje miecze?
Czyż nie zamilknąć przed żyjących rzeszą,
Co mniemać będzie, że wraz z nią złorzeczę?

Świat ten tak dziwny! i ludzie się spieszą
Zetrzeć czemprędzej ślad krwawej areny;
To, w co wierzyli wczoraj, dziś ośmieszą,

I codzień nowej potrzebując sceny,
Trupa przeszłości ze wzgardą wywleką,
Na łup zgłodniałe spraszając hyeny.

Tymczasem cienie nad Letejską rzeką
Kończą tragiczną dramatu osnowę,
Łzy im pod martwą zastygły powieką

I żale swoje wywodzą grobowe,
Bo żyją tylko tem dalekiem brzmieniem,
Które przyszłości sny potrąca nowe.

I myślą biedne, że ludzi wspomnieniem
Nieśmiertelności dokupią się mglistej,
Że ta drgająca fala ich imieniem

W krąg się po ziemi rozejdzie ojczystej,
I że im echo wracające powie
O serc pamięci wdzięcznej i wieczystej.

Lecz świat ten dziwny! — zrzuca szaty wdowie
Aby zapomnieć prędzej, czem żył wczora,
I klątwą tylko żegnają synowie

Odlatującej ojczyzny upiora,
I dawny ołtarz rozpada się w zgliszcza
Pod jednem cięciem krwawego topora!

Nowy obrządek i nowe bożyszcza
Biorą pokłony spłoszonego tłumu;
Lecz ani boleść, co serca oczyszcza,

Ani jaskrawa pochodnia rozumu
Do wyższych celów zaprzańców nie nagną,
Bo ci śród szyderstw głuszącego szumu

Do swych poziomów wszystko zniżyć pragną;
Tak więc, po smutnym przeszłości wyłomie
Zostaje w spadku wielkie tylko bagno.

A kto się twarzą zwróci ku Sodomie,
Tego Bóg w posąg boleści zamienia,
I nad umarłem morzem nieruchomie

Sam pozostanie śród pustyń milczenia,
Dźwigając przekleństw narzucone brzemię,
Co go nimbusem piekieł opromienia.

Śmieszna komedya! — gdzie zwycięzcy strzemię
Całują zgięte na kolanach męże,
I gdzie umarłych nieświęconą ziemię

Plugawią jadem pełzające węże,
I gdzie ostatnia zacność, co nie pada,
Modlitwą nawet niebios nie dosięże!

Więc gdy ostatnie hasło w sercach: „zdrada"!
Z cmentarnych krzyżów niech pręgierze stawią,
I umęczonych śpiąca już gromada

Niech się nie dziwi, że ich proch zniesławią;
Niech się nie troszczy w chmurach rozpostarta,
Że ich śmiertelnej koszuli pozbawią.

Bo tak być musi: i dziejowa karta,
Co lśniła blaskiem nieuszczkniętych marzeń,
Raz ręką mściwej Nemezis rozdarta,

Walać się musi w błocie ziemskich skażeń,
Aż ją znów przyszłość podniesie zwycięska,
I w krwi umyje anioł przeobrażeń.

Choć się więc skruszy pierś nie jedna męzka,
Kamienowana u świątyni progu,
Choć grasująca czarnych odstępstw klęska

Szerzyć się będzie w smutnym epilogu:
Nieprzekupiony przetrwa prawdy świadek,
Co boleść naszą odda w ręce Bogu.

Ileż to ciemnych ciągnie się zagadek
Przy tym krzyżowym ludzkości pochodzie,
Gdzie wciąż się nowy powtarza upadek,

Co spycha w przepaść jasne duchów łodzie!
Ileż to razy ginące plemiona
Chciały powstrzymać słońce na zachodzie,

By przyszłość w swoje uchwycić ramiona,
Sądząc, że one kończą dzień pokuty,
A jutro błyśnie jutrznia nieskażona!

Próżne złudzenia! bo ich ślad zatruty
Zostaje w spadku przyszłym pokoleniom;
Ideał starców łamie się zepsuty,

A młódź urąga okrwawionym cieniom:
I gdy ma nowe gonitwy poczynać,
Kłamstwo zadaje przeszłości natchnieniom.

Więc znowu trzeba boleć i przeklinać,
Trzeba ukochać jaką nową marę,
I nowe tęcze na niebie rozpinać,

Wątpić i wierzyć i znów tracić wiarę,
A po pielgrzymce męczącej i długiej
Minotaurowi znów złożyć ofiarę.

Ha! gdyby znalazł się Tezeusz drugi,
Coby odszukał labiryntu wątek,
I spłacił za nas zaciągnięte długi,

I dał nam w ręce rapsodu początek:
Możeby jeszcze było stworzyć z czego
Dziwną krainę marzeń i pamiątek!...

Lecz tak: co robić?... Życzę snu dobrego
I tej odwagi, co zdrajcom przystoi...
A sam do grobu wracam splamionego

Jak upiór w dawno zardzewiałej zbroi,
Któremu serce trza odjąć i głowę,
Aby nie straszył tłuszczy, co się boi.

1864—1865.

ODPOCZYWA.

I.

Odpoczywa, złożył skronie
Na jedwabnych mchach,
Na pościeli miękkiej tonie
W nieprzerwanych snach.

W leśnej ciszy odpoczywa
Pośród wonnych tchnień,
Paproć włosy mu pokrywa,
Wkoło chłód i cień.

Czarne świerki go kołyszą,
Szepcząc tęskny śpiew,
A motyle złote wiszą
Na gałązkach drzew.

Na ramionach mu zielony
Rozpostarł się bluszcz,
I gwar ptasząt przytłumiony
Dolatuje z puszcz.

II.

Noc zapada, z ziemi wstają
Zwolna srebrne mgły,
Szare płaszcze zarzucają
Na wilgotne mchy.

Mkną i płyną, jak jeziora
Zalewają las
W lesie straszno — duchów pora —
A on śpi jak głaz.

Księżyc przedarł swe promienie
Przez zielony dach,
I przetopił mgły i cienie
W brylantowych skrach.

Odmieniają kształty drzewa
Wśród tych światła fal,
Po wierzchołkach wicher śpiewa
Dzikiej pieśni żal.

III.

Nad perłową mgławisk falą,
Błędne światła drżą,
Mgły się kłębią i krysztalą,
Lżejsze w górę mkną,

Przybierają postać bladą
Eterycznych ciał,
Wstają, lecą, znów się kładą,
Gdy je wietrzyk zwiał.

Przeźroczyste, srebrne mary
Napełniają bór,
Cicho płyną przez moczary
Jak girlandy chmur.

W księżycowym, drżącym blasku
Mglistych dziewic splot
Ponad mgłami wszczyna w lasku
Fantastyczny lot;

I zatacza lekkie kręgi
Pląsających dziew,
I rozwija jasne wstęgi
Pośród czarnych drzew.

Pląsa, leci wietrzna rzesza,
Nad gęstwiną mknie,
Pod świerkami się rozwiesza
Gdzie spoczywa w śnie.

IV.

Posplatane, dłoń za dłonią,
Jak za cieniem cień,
Wciąż się wietrzą, pędzą, gonią
Wśród falistych drżeń.

Wiotkie kształty i kibicie
Rozkołysał bieg:
To nad ziemią, to w błękicie
Srebrny znaczą ścieg.

To spadają gwiazd kaskadą,
To się łamią w łuk,
To się topią w jasność bladą
Pośród mlecznych dróg.

Uniesione w ciągłym wirze
W tańca dziki szał,
Tworzą wieńce, wstęgi, krzyże
Z eterycznych ciał.

Fosforyczne biją blaski,
Oczy ogniem skrzą,
Z pod tęczowych szarf przepaski
Żywiej łona drżą:

Aż zmęczone szybkim lotem
Rozpuszczają włos,
Pod zielonym drzew namiotem
Piją krople ros;

I z konwalii dzwonków śnieżnych
Wysysają miód,
I w postawach nimf lubieżnych
Nocny piją chłód.

V.

Ponad świerków ciemne szczyty
Księżyc w górę wstał
I oświecił parów skryty,
Gdzie młodzieniec spał.

Zobaczyły tanecznice
Pod arkadą drzew
Uśpionego blade lice
I na sukniach krew.

Więc zlatują z lekka, z cicha,
Koło niego tuż,
Patrzą bliżej: nie oddycha,
Serce nie drży już!

W półotwartych oczach zgasnął
Wszelki życia ślad,
I poznały, że nie zasnął,
Lecz że w boju padł.

Jak kochanki nad kochankiem
Duże leją łzy,
Skroń mu wieńczą kwiatów wiankiem
I pierś myją z krwi...

Pieszczotami senność wieczną
Chcą mu z czoła zdjąć,
Bytu trwałość nadpowietrzną
Chcą mu w piersi tchnąć...

VI.

Wicher jęczy, zgina drzewa,
Szumi cały bór,
Nad umarłym rzewnie śpiewa
Mglistych dziewic chór:

„Powstań, powstań! zimny bracie,
Twardy sen twój rzuć!
W eterycznej duchów szacie
Znów na ziemię wróć!

„Kształtów życia ci pożyczy
Księżycowy świt,
We mgle duchów tajemniczej
Będziesz znowu kwitł;

„Ciało da ci promień drżący
Na powierzchni fal,
I cień chmurki pierzchającej
W nieskończoną dal.

„Uprzytomni się w naturze
Współczujący duch,
W harmonijnym istnień chórze
Wejdzie w wieczny ruch.

„Będziesz wszystkiem, będziesz niczem
W wszechświatowym śnie,
Zestawieniem mgieł zwodniczem
Na błękitów tle,

„Kroplą rosy, trawy listkiem,
Światłem nocnych zórz:
Będziesz niczem, będziesz wszystkiem
W oceanie dusz.

„Będziesz ludziom niewidzialny
Trącać skrzydłem świat
I z krainy idealnej
Wonny rzucać kwiat.

„Z szumem wiatru, z liści drżeniem,
Czystem światłem lśniąc,
Będziesz poił serca tchnieniem
Zaświatowych żądz.

„Więc cię pozna i dostrzeże
Sercem swojem lud,
I pieśń gminna cię ubierze
W wdzięczny podań cud.

„Twe nieznane poświęcenia
I ofiarny zgon,
Przejdą w dalsze pokolenia
Na przyszłości plon.

„Co noc wstaniesz czysty, świeży,
I z legendy rąk
Weźmiesz złoty miecz rycerzy
I światłości krąg.

„Co noc płynąć będziesz z nami
W szafirową toń,
I nad ziemią, nad kwiatami
Spijać czystą woń".

VII.

Na głos pieśni, wstrząsającej
Niemą grobu straż,
Zadrżał lekko młodzian śpiący
I odwrócił twarz.

Z jego piersi koralowy
Znowu prążek ściekł;
Rzucił w koło wzrok surowy
I z westchnieniem rzekł:

„Kto mnie budzi? kto mnie woła?
Poco na świat zwie?
Czyż mi jeszcze zwrócić zdoła
Jasne życia dnie?

„Czy mi odda rozkwit ciała,
Świeżych zmysłów wdzięk,
Rozkosz, co je nastrajała
W harmonijny dźwięk?

„Grób nie odda mi jutrzenki
Życiodajnych sił,
Bo z zazdrosnej śmierci ręki
Wraca tylko pył!

„Mamże jeszcze marnym cieniem
Na mogile stać?
Fosforycznym lśniąc płomieniem
Przeszłą męką trwać?

„Co noc boleść swą odświeżyć,
Wskrzesić wspomnień moc,
I pozorem życia przeżyć
Nieskończoną noc?

„Mamże znów nawiązać krwawą,
Rozerwaną nić?
Wrócić z bólem i niesławą,
Nie mogąc się mścić?

„Między żywych pójść ukradkiem
Jedną z próżnych mar,
I pozostać zbrodni świadkiem,
A wspólnikiem kar?

„Nie chcę bytu mglistej szaty
Na ramiona kłaść,
I przeszłości zwiędłe kwiaty
Nie chcę śmierci kraść!

„Nie chcę wieńczyć się łańcuchem,
Nie chcę stroić w pleśń,
Ani na świat wracać duchem,
Nucąc grobów pieśń.

„A i z wami, blade cienie,
Nie chcę w nocnej mgle
Księżycowe ssać promienie
Na błękitów tle.

„Chcę pozostać zimny, czysty,
Na posłaniu mchów,
I spoczynek mieć wieczysty
Nieprzerwanych snów.

„Niech natury wieczna praca
Wznawia dalszy byt,
Niech proch w koło istnień wraca
Witać nowy świt,

„Niech po świecie się rozproszy
Tysiącami tchnień,
Niech odżyje tchem rozkoszy
W jasny życia dzień.

„Lecz ja spocząć chcę na wieki:
Od duchów i ciał
Równie obcy i daleki,
Będę cicho spał".

VIII.

Księżyc zaszedł w ciemne chmury,
Ukrył srebrny blask;
W lesie słychać śmiech ponury,
Nocnych ptaków wrzask.

A na nocy czarnej szacie
Znikły światła mdłe,
Rozpłynęły się postacie
W lekką, siną mgłę.

I pozostał sam w ciemności
Skryty w lasu głąb;
A na straży snu cichości
Stoi świerków klomb.

Serca jego już nie nęka
Echo ziemskich burz,
I nie zbudzi go jutrzenka:
Bo spoczywa już!

1868.

WIERZBA NA PUSTKOWIU.

Stoi wierzba płacząca
Nad ciemnem jeziorem,
Drży w promieniach miesiąca
Kiedy wietrzyk ją trącą
Wieczorem.

W koło piaski wilgotne,
Rdzawe mchy i zioła,
Wody mętne i błotne
I pustkowie samotne
Dokoła.

Gdy na niebie zapada
Noc martwa, noc cicha,
Wierzba stoi tak blada
Jak strwożona Dryada
I wzdycha.

Patrzy smutna na sine
Niebiosa z ołowiu,
Na wód czarną kotlinę
I piaszczystą równinę
W pustkowiu.

Chociaż cisza panuje
Grobowa i głucha,
Coś ją zgrozą przejmuje,
Bo się w niebo wpatruje
I słucha.

Gdy zegary gwiaździste
Już północ naznaczą,
Lecą duchy nieczyste
Przez obszary piaszczyste
I płaczą.

Przybywają z noclegu
Wybladłe, skrwawione,
I siadają w szeregu
Pod tą wierzbą na brzegu,
Zmęczone.

Wspomnieniami ścigają
Stracony sen życia
Nad przeszłością wzdychają
I zbutwiałe wstrząsają
Okrycia.

Wspominają swą siłę
I piękność młodzieńczą,
Upojenia tak miłe —
I klną swoją mogiłę
I jęczą.

Klną poczęcia godzinę
I matki swej łono,
Swoich ojców, rodzinę
I słoneczną krainę
Straconą.

I złorzeczą ludzkości
I żywym na ziemi,
Ich nadziejom, miłości...
I wzywają nicości
Nad niemi.

Księżyc twarz swą ukrywa
Za obłok, za ciemny,
Nagle wicher się zrywa,
A z nim władca przybywa
Podziemny.

I gromadzi swe straże
I hufce śmiertelne,
I po ziemi obszarze
Spełniać dzieło im każe
Piekielne.

Każe w strony rodzinne
Powracać i czuwać,
Wkraść się w strzechy gościnne,
Nocą serca niewinne
Zatruwać.

Tłumić lepsze natchnienia,
Siać nędzę i ciemność
I bezmyślność zwątpienia,
Co czyn każdy zamienia
W nikczemność.

By w narodzie, co słynął
Rycerski, szlachetny,
Śmierci jad się rozwinął,
Aby upadł i zginął
Bezdzietny.

Wysłuchały z rozkoszą
Straszliwe rozkazy:
I w powietrze się wznoszą,
I po ziemi roznoszą
Zarazy.

Potrząsając skrwawione
Całuny posępne,
Lecą każdy w swą stronę,
Wzniecać żądze szalone,
Występne.

Lecą z wiatru poświstem
Stopione w mgłę czarną,
Kazić tchnieniem nieczystem
I siać w polu ojczystem
Złe ziarno.

I znów pustka milcząca —
Noc martwa i cicha —
Stoi wierzba płacząca,
Drży w promieniach miesiąca
I wzdycha.

1869.

NA POBOJOWISKU[1]).

Chłód go nocny powrócił do życia
I otworzył swe oczy powoli...
Wkoło ciemność: słychać jakieś wycia,
Jakieś jęki; coś go w piersiach boli...
Z bólem pamięć powraca leniwa,
Rozpoznaje z dreszczem niepokoju,
Że na ziemi wilgotnej spoczywa,
Gdzie upadł w boju!

Rozpoznaje przez mgieł kłęby sine
Ciemne kształty rzucone w nieładzie,
Co zasłały dokoła równinę,
Pojedynczo leżąc, lub w gromadzie;
Rozpoznaje stosy nieforemne,
Z których czasem straszny jęk wybucha;
I ze zgrozą patrzy w niebo ciemne,
Patrzy i słucha.

[1]) Z wrażeń r. 1870 pod wpływem wojny prusko-francuskiej.

Coś się ruszy, coś tam zaszeleści;
To znów słychać rżenie, lub chrapanie,
Głosy dzikiej, nieludzkiej boleści;
Coś upadnie, coś ze ziemi wstanie,
A szmer każdy w nocnej ciszy rośnie,
Olbrzymieje trwogą, wstrętem, bolem,
I w powietrzu jęczy wciąż żałośnie
Nad krwawem polem.

Czasem ptaki załopoczą skrzydłem,
I na ziemię, w pobliżu przypadną,
Żerowaniem zajęte obrzydłem...
On się wstrząsa przed wizyą szkaradną;
Choć odważny a przecież się lęka,
Że niedługo, może już nie zdoła
Spędzić ptactwo — nieruchoma ręka
Z martwego czoła.

Mgła mu oczy powoli zasłania...
On sam nie wie: czy to rosa ścieka
Po źrenicach? czy też mrok konania
W noc go cichą na zawsze obleka?
Lecz że życie boleścią się mierzy,
A w swych piersiach czuje bolu żmiję,
Mimo cieniu grobowego wierzy,
Że jeszcze żyje!

Żal go dławi, pragnienie go piecze,
Dreszcz śmiertelny członki mu przejmuje;
Krew uchodzi: z nią życie ucieczе...
Lecz on jeszcze słyszy, myśli, czuje...
Jeszcze wzrokiem powłóczy po ziemi,
Po postaciach, leżących w ciemności,
Jeszcze szemrze usty spieczonemi:
„Biedna ludzkości!"

Jeszcze myślą błądzi wśród ciał stosów,
Których losy niedługo podzieli,
I zagadka smutnych ludzkich losów
Tu na krwawej trwoży go pościeli.
„Biedna ludzkość!" — powtarza i wzdycha —
„Co ją pędzi na straszne rozdroża?
„Co ją gwałtem z łąk kwiecistych spycha
„Pod ostrze noża?"

„Sława?... miłość dla ziemi rodzinnej?...
Parcie ducha, któremu za ciasno?
Czy przeczucie jakiej lepszej, innej
Doli ludów, krwią kupionej własną?
Czy nienawiść, szał, lub przesąd lichy
Zaszczepiony starannie za młodu?
Czy pojęcie wielkości i pychy
Swego narodu?"

„Czy też zwykła bierność, brak oporu,
Ślepy nałóg, ślepe posłuszeństwo?
Jakieś widmo tęczowe honoru,
Co zasłania dzikie okrucieństwo?
Może wszystko, może wszystko razem
Pchało naprzód te zastępy zbrojne,
Co zmiecione ogniem i żelazem
Leżą spokojne".

„Biedna ludzkość! Wieluż z nich wiedziało,
Jaką przyszłość toruje i komu?
Czy śmierć będzie ich klątwą, czy chwałą?
Kto skorzysta z klęski lub pogromu?
Czy nad nocą ich własnej zagłady
Nowe ducha zabłyśnie świtanie?
Czy się raczej nie zalęgną gady
W otwartej ranie?"

„Ten, kto może ginąć z pełną wiarą,
Że umiera za ludu swobody,
Że krwi swojej serdecznej ofiarą
Zbawi w więzach jęczące narody,
Że ojczyźnie cierpiącej otworzy
Nowe drogi szczęścia i spokoju...
Ten usypia, jako sługa boży,
Po krwawym znoju".

„Lecz kto ginie, jak niewolnik marny,
Zawleczony za włosy przemocą,
I rzucony pod topór ofiarny,
Nic nie wiedząc, dlaczego i po co?
Kto upada bez pociechy czystej,
Że szedł bronić tego, co mu drogiem...
Ten ze skargą na sąd wiekuisty
Stanie przed Bogiem".

„I Najwyższy nie dozwoli Sędzia,
Aby odtąd już na ojców grobie
Nasze dzieci, jak ślepe narzędzia,
Uzbrajano na śmierć przeciw sobie:
Aby miały z myślą rozpaczliwą
Rzucać znowu życia blask różowy,
Że zwiększają przyszłe nieszczęść żniwo
W proch kładąc głowy".

Tak się żali swego serca raną
Przed tem niebem pochmurnem i głuchem,
I swą ziemię wspomina kochaną,
Gdzie nie wróci, chyba tylko duchem;
I wspomina matkę, co się dowie,
Że nie ujrzy więcej syna swego...
„Biedna matka! Święci Aniołowie
Niechaj ją strzegą!"

Dom rodzinny staje mu przed okiem:
Taki jasny, wdzięczny, uśmiechnięty,
I tak ludny złotych mar natłokiem,
I tak pełen najmilszej ponęty.
Szczęście, miłość, żony postać słodka,
Przesłonięta smutkiem i tęsknotą,
I ta mała w kołysce szczebiotka,
Co już sierotą!

Znowu oczy zaszły łzą, czy rosą;
Gdy wtem nagle zdala blask spostrzega,
Jacyś ludzie: w ręku światło niosą;
Pewnie pomoc dla rannych przybiega.
„To ratunek — szepcze — to ratunek!
„Może jeszcze będę ocalony,
„I po słodki wrócę pocałunek
Matki i żony!"

Z utęsknieniem wita światło owe
I chce wołać i wzywać pomocy,
Lecz dokoła słychać jęki nowe,
I głos jego ginie w ciemnej nocy.
Światło miga, tu owdzie wśród zielska,
A gdzie przejdzie, tam ucichną jęki...
Pewnie ręka litości anielska
Łagodzi męki.

Aż przed sobą przy świetle latarni
Ujrzy twarze, widziadła gorączki...
Niby ludzie, lecz nadto poczwarni,
Chcą mu z palców pościągać obrączki...
Widzi obok, jak dłoń świętokradzka
Z ciał zabitych smutne łupy zrywa,
I jak rannych dobija z nienacka
Grabieży chciwa!

Ten ohydny widok śmierci dreszczem
Ścina piersi rannego żołnierza,
Wzrok martwieje przed widmem złowieszczem,
Głowa martwo o ziemię uderza.
Tylko ciało kurczowo się wzdryga
Na straszniejsze nad grób okropności...
I westchnienie na ustach zastyga:
„Biedna ludzkości!"

PRZEMINĄŁ CZAS.

Przeminął czas! przeminął czas
Tęczowej cudów powieści:
Już opustoszał święty las
I czarów w sobie nie mieści.

Już w nim nie mieszka żaden bóg,
Faun płochy ani Dryada;
Na skrzyżowaniu ciemnych dróg
Żadne już widmo nie siada.

Zaklęty zamek poszedł w dym,
Postrachu więcej nie szerzy...
I Meluzyna głosem swym
Nie wabi błędnych rycerzy.

Już czarodziejski prysnął krąg:
Serc widzeniami nie pieści;
Wyrwał się nagle z ludzkich rąk
Geniusz cudownych powieści!

* * *

Przeminął czas! przeminął czas
Rapsodów sławy i miecza,
Zmalały pieśni pośród nas,
I pierś zmalała człowiecza!

Wolności także zamarł śpiew:
Niema skrzydlatej hussaryi,
Co za ojczyznę lała krew,
Padając z imieniem Maryi.

A bohaterstwa jasny cud,
Co niegdyś blasków lśnił tęczą,
Dzisiaj wyklina biedny lud,
Żelazną ściśnion obręczą.

Niezrozumiałym już się stał
Orężny szczęk epopei
Dla znikczemniałych smutnych ciał
Bez męstwa i bez nadziei.

* * *

Przycichła pieśń i kona już
Nie budząc żadnego echa:
Próżno się czepia zwiędłych róż,
Napróżno w łzach się uśmiecha.

Próżno na grobach w cichą noc
Skarży się smutna i blada:
Straciła dawną swoją moc,
Sercem człowieka nie włada.

On się już wyrzekł złotych mar,
Jasnego zaparł królestwa,
I nieśmiertelny ducha dar
W otchłanie strącił nicestwa.

I runął cały wielki gmach,
Wzniesiony wiarą pokoleń:
Została nędza, niemoc, strach,
I ojców spruchniała goleń!

* * *

Lecz błyśnie dzień! lecz błyśnie dzień,
W którym duch ludzki na nowo
Ożywi zeschły życia pień
Girlandą kwiecia różową,

I z prochu, w który dziś się wpił
Na dawnych marzeń ruinie,
Zaczerpnie zapas twórczych sił,
I znowu w niebo popłynie.

A ideału jasny kwiat
Z zbutwiałych obrany liści,
Napełni znowu wonią świat,
Zakwitnie pełniej i czyściej.

I żywych natchnień złota nić
Przewiąże prawdy zdobyte:
Co nieśmiertelne, musi żyć,
Choć zmienia kształty zużyte.

* * *

A wtenczas pieśń powstanie znów,
Cudowną moc swą odświeży,
I z labiryntu ciemnych snów
Na światło dzienne wybieży.

Rozpostrze tęczę rajskich farb
I nowe jutrznie zapali,
Najczystszy ludzkich natchnień skarb
Na śpiewnej unosząc fali;

I nieśmiertelną życia treść
Dobędzie z prochu i kału,
I rzeczywistość zdoła wznieść
Za sobą do ideału.

A bohaterstwo dawnych dni
Uświęci w walce ostatniej,
Gdzie miłość zmaże plamy krwi
I ucisk zwycięży bratni.

POWRÓT DO DOMU.

Wśród cichej nocy, do wioski, co w dole
Ponad srebrzystym rzucona strumieniem,
Zdążał podróżny i witał westchnieniem
Wysmukłe, zdala widzialne topole.
Chociaż zmęczony, przyspieszał wciąż kroku,
Jakby przypuszczał, że mu sił nie stanie,
I całą duszę umieścił w swym wzroku
Na pierwsze, długie, łzawe powitanie.
Świadomy drogi przez lasek brzozowy
Zbiegł na dół ścieżką i zniknął w olszynie,
Aż stanął wkrótce na mostku przy młynie,
Słuchając jego z bocianem rozmowy.

Co mu powiedział bocian i młyn stary,
Swoim klekotem płynącym po rzeczce?
Jakie obudził wspomnienia i mary,
Ten głos dwóch starców w nieustannej sprzeczce?
Nie wiem. Lecz silniej pobladły mu lica,
W srebrzystem świetle bladego księżyca,
I boleść w niemej utopił zadumie,
Szukając wspomnień w śpiewnym rzeczki szumie...

Wiatr mu z bliskiego przynosił ogrodu
Znajomych kwiatów woń pamiętną, miłą;
I zaczął marzyć, jak niegdyś za młodu,
Jak gdyby w życiu nic się nie zmieniło;
I cała przeszłość stanęła tak żywa,
Skupiona w jednym, tęczowym obrazku,
I pierzchłe złotej młodości ogniwa
Nabrały teraz nieznanego blasku.
Cichego szczęścia najmniejsze wypadki,
Jasnym płomieniem świecące ognisko,
I te najsłodsze pocałunki matki,
I drugie również anielskie zjawisko:
Wszystko to widział w dziwnej mgle niebieskiej,
Jak poplątane cudne arabeski.

Wydarł się wreszcie tej widzeń ponęcie,
Co pieszcząc serce, krwawi je zarazem;
Zwrócił się spiesznie na drogi zakręcie,
A twarz się znowu powlokła wyrazem
Owej spokojnej, bezbrzeżnej boleści,
Co się niczego już w świecie nie lęka
I żadnej w sobie nadziei nie mieści.

Dalej za młynem stała Boża Męka
Na skrzyżowaniu drożyn pochylona,
I wyciągnęła czarne swe ramiona
Z błogosławieństwem ponad ciche pole,
Patrząc z miłością na ludzką niedolę.

Minął ją zwolna, pochyliwszy głowy,
I poszedł prosto na cmentarz wioskowy.

Topole, brzozy i wierzby płaczące
Wieńczyły miejsce spoczynku do koła,
Schylając swoje zadumane czoła,
Jakby piastunki do snu śpiewające.
Tam pod ich strażą rozsiadły się wzgórza,
Gdzieniegdzie w czarne ubrane krzyżyki;
Gdzieniegdzie polna wczołgała się róża,
Lub zielsko bujne, lub też krzaczek dziki.

W milczeniu stąpał wśród mogił podróżny,
Bojąc się przerwać uroczystej ciszy;
Nadstawiał ucha na każdy szmer próżny,
Jakby przypuszczał, że jeszcze usłyszy
Głos, co go wołać zacznie po imieniu;
Z bijącem sercem przed siebie spoglądał,
Jakby na jasnym księżyca promieniu
Jaki cień drogi jeszcze ujrzeć żądał.

Lecz nic nie było słychać: prócz tych szmerów,
Co się być zdają nadziemskich eterów
Falistem drżeniem, i spływają w pieśni,
Gdy je noc ujmie w dźwięk i ucieleśni.
I nic nie widać: prócz tej gry znikomej
Drżącego światła i przelotnych cieni,
Która na fali powietrza ruchomej
Niepewne kształty rysuje w przestrzeni,

I z krzyżów, krzewów i głazów cmentarza
Coraz to nowe widziadła wytwarza.

Lecz ujrzał za to w księżycowym blasku
Wśród innych mogił kamienny grobowiec:
Spojrzawszy, przykląkł na ziemię wędrowiec
I złożył głowę na wilgotnym piasku,
I przytulony do zimnego głazu,
Leżał bez ruchu, życia i wyrazu.

Łza mu z suchego nie pociekła oka,
Ani też jękiem nie drżała pierś pusta;
Modlitwy nawet nie szeptały usta,
Bo wszystko boleść stłumiła głęboka,
Rzucając sercu, co padło zranione,
Nieprzytomności i szału zasłonę.

KRÓL JUBA.

Chodź, Petrejuszu, rzecze król Juba,
Po co nad klęską chmurzyć swe czoło?
Nie czas żałować: skończona próba,
Potrzeba zginąć wesoło!

Cezar zwycięzca, my zwyciężeni,
Już się nie dźwigniem więcej z pogromu;
Pole zabitych krwią się rumieni
I niema walczyć już komu.

Cezar nas wszystkich osaczył w matni:
Na cóżby wszystkie skargi się zdały?
Czy my to pierwsi? czy my ostatni,
Co nędznie giniem bez chwały?

Ktoś musi zawsze ustąpić z drogi.
Dziś na nas kolej: oni są górą!
Lecz, Petrejuszu, klnę cię na bogi:
Czemu spoglądasz ponuro?

Czy żal ci tęczy złudzeń rozwianej?
Żal ci wolności jasnych sztandarów?
Rzymu, co będzie dźwigał kajdany
Pod stopą swoich cezarów?

Żal ci szlachetnej myśli, co ginie,
A której inni podjąć nie zdolni?
Rozpogódź czoło, mój Rzymianinie,
Zgon nas od troski uwolni.

Ja, barbarzyńca, syn dzikich plemion,
Nie będę waszym rozpaczom wtórzył;
Gdy lud zwycięzcy gnie się do strzemion,
Ma los, na jaki zasłużył.

Ja, barbarzyńca, nie znam co smutki,
Walczyłem z wami wiernie do końca;
Teraz chcę jeszcze przez ten czas krótki
Ucztować do wschodu słońca.

W moim pałacu czeka biesiada,
Więc ciebie na nią zapraszam w gości:
Zanim nam usta zamknie śmierć blada,
Wypijem na cześć wolności!

* * *

Cóż, miły gościu? czyż nie ochoczo
Bawim się, tłumiąc myśli złowieszcze,
Zanim nas tutaj wrogi zaskoczą,
Do picia mamy czas jeszcze.

Niech żyje słodka winna jagoda!
Niech żyje napój zesłany z nieba!
Takich nektarów zostawiać szkoda,
Amfory skończyć potrzeba.

Więc prędzej czary wychylmy do dna:
Każda z nich z czoła chmurę nam strąca:
Niech żyje męstwo i myśl swobodna!
Niech żyje wolność ginąca!

Chodź, niewolnico, moja ty biała,
Śnieżnem ramieniem opasz mi szyję;
Niech żyje powab pięknego ciała,
Cypryjskie bóstwo niech żyje!

Weź jeszcze swoją lirę do ręki
I śpiewaj grecką piosnkę miłosną:
Niech żyją pieśni rozkoszne dźwięki,
Od których serca tak rosną!

Dość, dość, Greczynko! dolej nam wina
I ucisz ust twych śpiewne słowiki,
Niech nam numidzka teraz dziewczyna
Zatańczy taniec swój dziki.

Dosyć i tańca: jutrzenka chyża
Niedługo dzienne światło odnowi,
Więc nasza uczta także się zbliża
Teraz ku swemu końcowi.

Wszystko się kończy, co się zaczyna,
Czy złe, czy dobre losy człowiecze:
Ostatnią czarę spełnijmy wina
I weźmy w dłonie dwa miecze.

Zmierzym się z sobą, tak, dla zabawy,
Wiem, że się stalą zabawim ładnie.
Komu los będzie sprzyjać łaskawy,
Ten z ręki drugiego padnie.

W walce umierać jakoś najgładziej,
I cała przykrość namysłu znika.
Kto pozostanie, niech sobie radzi,
I ginie z rąk niewolnika.

Cóż, Petrejuszu? rozjaśniasz lica
I za żelazo chwytasz z pospiechem?
Mój pomysł ciebie widać zachwyca,
Bu usta krasisz uśmiechem!

A więc skrzyżujmy nasze oręże,
O cios śmiertelny będziem się spierać,
Walczmy jak wrogi, walczmy jak męże,
Z których chce każdy umierać.

Co? ty się chwiejesz pod moim ciosem...
Padasz na ziemię, o Rzymianinie?
Słusznie, żeś został wybrany losem,
Wszak byłeś u mnie w gościnie.

Musisz mi przyznać, że byłem hojny,
Niosąc ci w końcu ten dar żelazny:
Już nic nie pragniesz... jesteś spokojny,
Poległszy z ręki przyjaznej.

Teraz i na mnie nadchodzi kolej...
Daremnie żądać pomocy bratniej.
Greczynko! jeszcze wina mi dolej,
Daj pocałunek ostatni!...

Hej, niewolniku! zwiędły mi róże,
Przygotuj świeży wieniec na skronie,
Popraw draperye na mej purpurze.
A teraz ujmij miecz w dłonie.

Posłuchaj chłopcze... wolnym cię robię
Tylko idź ślepo za mym rozkazem:
Kiedy różami czoło ozdobię —
Przeszyj mi piersi żelazem!

OCIEMNIAŁY THAMIRYS.

Niewidomego starca prowadzi pacholę,
Wspierając drżące kroki. Z ramion jego spływa
Szmat spłowiałej purpury, a na jego czole
Lśni złocisty dyadem. Broda długa, siwa,
Twarz blada, co powagę i smutek wyraża;
Martwo się patrzą w błękit dawno zgasłe oczy.
Jakby widmo królewskie w łachmanach nędzarza,
Tak on, wsparty na chłopcu, z trudem naprzód
[kroczy.
Długą przebyli drogę; starzec, blizki zgonu,
Dźwigając ciężkie nieszczęść i lat swoich brzemię,
Kazał się wieść na święte wzgórze Helikonu,
By tam pożegnać razem niebiosa i ziemię.

Po drodze często gawiedź przystaje ciekawa,
Otacza ich i głośno urąga starcowi,
Mówiąc: „Oto Thamyris, który bogów prawa
„Obwieszczał, przyrzekając, że wiek złoty wznowi;
„On to jest, co w świat wróżby rzucając fałszywe,
„Mienił się muz kochankiem i bogów wysłańcem,

„Co był królem i wieszczem, aż niebiosa mściwe
„Zrobiły go żebrakiem i ślepym wygnańcem".
Lecz w pielgrzymie już gniewu żadnego nie budzi
Ni natrętna ciekawość, ani gorzkie słowo;
Obojętny on teraz na szyderstwo ludzi,
I w dalszą idzie drogę z pochyloną głową.

Tak zwolna zaludnione rzucili równiny,
Minęli niższe stoki i lesiste wzgórza,
I pnąc się przez wąwozy i skał rozpadliny,
Stanęli, gdzie wierzchołek w błękitach się nurza.
Tam pod kamienną ścianą, wśród łomów zwaliska,
Co tworzy tajemniczą grotę lub świątynię,
Kryształowemi wody czysty zdrój wytryska
I z melodyjnym szmerem spływa po wyżynie.
Ponad bijące starzec przybliżył się źródło,
I kazał pacholęciu wracać w strony swoje;
Poczem sam pozostawszy, twarz swoją wychudłą,
Przyklęknąwszy, pochylił nad szumiące zdroje,
I zaczął zwolna mówić:
„O boskie dziewice!
„Życie moje ucieka, noc już moja blizko;
„Jako starzec przychodzę nad świętą krynicę,
„Do was, com dzieckiem widział nad moją ko-
[łyską.
„O siostry nieśmiertelnej piękności i chwały!
„Bądźcie znów mi łaskawe, tak, jak za dni onych,
„Gdyście mię na dziewiczem łonie piastowały
„I mlekiem swoich pieśni karmiły natchnionych.

„Nie szczędźcie mi ostatniej pociechy na ziemi!
„Noc ciemną, która z oczu i z serca nie schodzi,
„Rozświećcie mi nad grobem blaskami swojemi,
„Niech spokojny odpłynę na umarłych łodzi.
„Niech mi nie przyjdzie zwątpić w rozpaczy [i trwodze
„O tem, co mi na drogach żywota świeciło;
„Niech po przebytych burzach smutny nie odchodzę,
„Sądząc, że wszystko tylko próżną męką było!
„Jeżelim uwiedziony ziemskiej pychy szałem,
„Zapominał, żem od was słowo brał natchnione;
„Jeśli w proroczej dumie wam dorównać chciałem,
„Zrywając tajemniczą przyszłości zasłonę:
„Tom dość był ukarany męką życia długą
„Za winy, które z serca wierzącego wyszły;
„Bo zresztą wiernym byłem waszych natchnień [sługą,
„Wiodąc znękaną ludzkość do harmonii przyszłej.
„Wyście mi lepszą świata odkryły połowę,
„Co nad zamętem walki lśni pogodą jasną;
„Pozwoliły podziwiać jutrzenki różowe,
„Co rozświecają przyszłość i nigdy nie gasną.
„Wiecznych waszych melodyj oddalone echo
„Przenosiłem na drżące struny swojej lutni;
„Upadające serca krzepiłem pociechą,
„Rzucając swoje pieśni tym, co byli smutni!
„Lecz próżnom zapowiadał jasnych bóstw przy- [bycie
„I zwiastowałem nadejść mający wiek złoty,

„Co niebiańską pogodą opromieni życie
„I zakwitnie tryumfem miłości i cnoty;
„Próżnom lepsze pragnienia w pierś zaszczepiał [gminu
„I sam wraz z pieśnią swoją stawałem na czele,
„Podnosząc słabe serca, wzywając do czynu,
„I ukazując wyższe doskonalsze cele...
„Złoty wiek nie nadchodził, nic się nie zmieniło
„W powszechnej nędzy bytu; zawsze tak, jak [wprzódy,
„Rozpacz szła za uciskiem, gwałt kroczył za siłą,
„A nienawiść i zemsta rozdzielała ludy.
„Zawsze te same klęski, niedole i zbrodnie
„Snuły się jak ogniwa jednego łańcucha;
„Zawsze te same szału płonęły pochodnie,
„Zawsze ta sama w głębiach noc nieszczęścia głucha.
„Więc w tej ciężkiego życia ponurej kolei,
„Tłum, co żądając szczęścia w bezczynności drze- [mie,
„Mnie oskarżył o zawód wzbudzonych nadziei.
„Na mnie zwalając wszystkich swoich nieszczęść [brzemię.
„Ci, co marzyli dotąd o zbyt łatwym cudzie,
„Iskierką nietrwałego zagrzani zapału,
„Pogardą i szyderstwem okryli mnie ludzie,
„Złorzecząc nieśmiertelnym blaskom ideału.
„Boleść ich oślepiła i w dzikim obłędzie,
„Zwodniczem kłamstwem zwali natchnioną moc [waszą,

„I bluźnili jej, sądząc, że im lepiej będzie,
„Gdy wszystkie boskie światła w swych piersiach [pogaszą.
„Tak więc z pieśnią, co echa żadnego nie budzi,
„Okryty zniewagami i potwarzą splamion,
„Zostałem opuszczony przez bogów i ludzi,
„I królewska purpura opadła mi z ramion.
„W niepewności i trwodze przyszłość mi ściem- [niała,
„I opuścił pierś moją duch widzeń proroczy;
„A w ślad za nocą duszy przyszła noc dla ciała:
„Nielitościwe bóstwa zamknęły mi oczy.
„Niebiosa potwierdziły wymiarem tej kary
„Wyrok, co nad zuchwałym ciężył świętokradcą;
„Poszedłem na wygnanie żebrak ślepy, stary,
„Co byłem ludu mego i wieszczem i władcą.
„Dzisiaj przychodzę do was w śmierci mej go- [dzinie,
„Byście mi rozwiązały zagadkę żywota:
„Czemu, gdy wszystko tutaj jak sen marny ginie,
„Do idealnych światów wiedzie nas tęsknota?
„Czemu nam odsłaniacie swoją piękność skrycie?
„Czemu zbudzoną ze snu potrząsając duszą,
„Niezmierzone pragnienia w piersiach nam szcze- [picie,
„Jeśli nieugaszone wiecznie zostać muszą?
„Lub jeśli waszych natchnień opiekuńcza władza,
„Tak, jakem wierzył przedtem, nie jest czczym [pozorem,

„Lecz z błędów i niedoli ludzkość wyswabadza
„I posuwa ją naprzód wyznaczonym torem;
„Powiedzcie, czemu same spotkałem zawody,
„Tracąc jedno za drugiem wszystkie światła moje?
„Czemu, zapowiedzianej dla duchów pogody
„Nie doczekawszy, smutny dziś nad grobem stoję?"

Umilkł starzec i w błękit ramiona błagalne
Wyciągnął, jakby niebios chciał dosięgnąć niemi,
I ubłagać dla siebie bóstwa niewidzialne,
Żeby dały ostatnią odpowiedź na ziemi.
Tak klęczał, zachodzącem słońcem oświecony,
Co mu na twarz rzucało ciepłą światła falę,
Siląc się przedrzeć ciemne źrenic swych zasłony,
By się raz jeszcze przyjrzeć dnia jasnego chwale.
Wytężył swoje ucho w uroczystej ciszy
I chwytał wszystkie światów najlżejsze oddechy,
Czekając z utęsknieniem, czyli nie usłyszy
Śpiewnych dźwięków nadziei, łaski i pociechy.
A oto wśród cichego teraz pożądania,
Zdaje mu się, że w boskich świateł majestacie
Czarna mgła ustępuje i oczom odsłania
Nieśmiertelnej piękności dziewicze postacie;
Zdaje mu się, że słyszy melodyjne głosy,
Co niebieskim spokojem przepełniają łono,
Jakoby ciche krople spadającej rosy
Na ziemię całodziennym skwarem rozpaloną;
I widzi zstępujący na złotym promieniu
Ten sam orszak świetlany, co niegdyś, przed laty

Unosił go z tej ziemi pomroki i cieniu,
Ukazując jaśniejsze, doskonalsze światy.
Znowu go pieści światła i harmonii fala,
Znów dawna ufność w serce powraca nieznacznie,
Znowu go chór niebianek swym wieńcem okala,
I tak na jego skargi odpowiadać zacznie:
„Niewdzięczny! ty śmiesz jeszcze słać nam skargi [swoje
„Za łaski, cośmy hojnie zlewały na ciebie;
„Nam wyrzucać błądzącej duszy niepokoje,
„Co mimo boskich świateł w ciemnościach się [grzebie!
„Czy tak cię przygniótł marzeń zbyt śmiały upa- [dek?
„Czy tak cię chwila bólu przeraża i trwoży?
„Żeś się zbłąkał wśród życia pozornych zagadek
„I zatracił ślad jasny wiecznej myśli bożej.
„Wy, śmiertelni, bieg świata wyłącznie mierzycie
„Miarą krótkich dni swoich i w tej jednej chwili
„Chcielibyście to wszystko widzieć już w rozkwicie,
„Czego dopiero zasiew bogowie rzucili,
„I kiedy wam ich łaska tajną myśl odsłoni,
„Wskaże cel, ku któremu posuwać się trzeba,
„To wy go chcecie zaraz ująć w swojej dłoni,
„I nie dosięgłszy... próżno oskarżacie Nieba.
„Nie możecie zrozumieć, że ten tajemniczo
„Świecący wam nad głową ideał daleki,
„Wiecznie nie uchwyconą jest dla was zdobyczą,
„Ku której się przybliżać należy przez wieki.

„Nie doskonałość bowiem waszym jest udziałem,
„Nie tryumf, co już żadnej nie podlega zmianie;
„Lecz postęp, okupiony dążeniem wytrwałem —
„Dobra, prawdy i piękna wieczne pożądanie.
„To wasz skarb, który szczęście najwyższe stanowi,
„I przepaściste drogi pochodu wyzłaca;
„Z nim możecie iść śmiało na przekór losowi,
„Pewni, że nie zmarnieje nigdy wasza praca.
„Jeśli więc samolubstwem i dumą popchnięty,
„Chciałeś za życia ujrzeć dokończone dzieło;
„To musiałeś zawodu wypić gorzkie męty
„I zrozpaczyć, że z tobą wszystko zaginęło;
„Lecz jeśli, po doznanym upadku i wstydzie,
„O przyszłe losy świata dręczy cię obawa,
„Jeżeli ci o prawdę twoich natchnień idzie,
„A niezmienność nędz ludzkich bólem cię napawa;
„To pociesz się, śmiertelny! Cel, co wam jaśnieje
„W mgłach przyszłości, ten nie jest złudzeniem [zwodniczem;
„Nie napróżno Niebiosa dały wam nadzieję,
„I szlachetne pragnienia, niezgaszone niczem.
„W ciągu wieków, wśród ciągłych zmian i przeo- [brażeń,
„Coraz więcej świat boskich przyswaja promieni,
„I to, co należało do dziedziny marzeń,
„W niezłomną rzeczywistość później się przemieni.
„Przyjdzie czas, w którym wszystkie twe natchnienia [wieszcze,
„Co dzisiaj, jak sen marny, w ciemność się rozwiały,

„Kiedyś po twojej śmierci zmartwychwstaną jeszcze,
„I ozdobią cię blaskiem niespożytej chwały.
„Przyjdzie czas, gdy pieśń twoja, dziś martwa [i głucha,
„Znów idealnem tchnieniem przejmie ludzkość [młodą,
„I ten pośmiertny tryumf tęskniącego ducha,
„Będzie za mękę życia sowitą nagrodą".

1877.

BAŚŃ TĘCZOWA,

poświęcona

F. V. Kvapilovi.

Od kolebki biegną za mną
Czarodziejska baśń tęczowa,
I szeptała wciąż do ucha
Melodyjne zaklęć słowa.

Urodzona nad wieczorem
Z cichych gawęd mych piastunek,
Spała ze mną, na mych ustach
Kładąc we śnie pocałunek.

I budziła się wraz ze mną,
I wraz ze mną ciągle rosła,
I z kołyski na swych skrzydłach
W jakiś dziwny świat mnie niosła.

Ponad morza purpurowe,
Ponad srebrne niosła rzeki,
Po zwodzonym moście tęczy
W cudowności świat daleki.

Otworzyła mi zaklęciem
Brylantowy w skałach parów:
I wkroczyłem raz na zawsze
W kraj olbrzymów, widm i czarów.

I zamknęły za mną wrota
Jakieś wróżki czy boginie,
Więc na całą życia kolej
Szedłem błądzić w tej krainie.

W tej krainie, w której wszystko
Ożywioną bierze postać,
W której każdy głaz ma duszę
I człowiekiem pragnie zostać.

Złotolistnym szedłem gajem,
Gdzie się wszystko skrzy i złoci,
Gdzie zakwita skryty w cieniu
Tajemniczy kwiat paproci;

Szedłem gajem, gdzie dokoła
Śpiewające szumią drzewa,
Gdzie młodości wiecznej źródło
Czyste wody swe rozlewa;

I witały mnie po drodze
Rozmarzone oczy kwiatów,
Co patrzyły tak wymownie
W niezmierzoną przestrzeń światów.

I witały ludzkim głosem
Różnobarwnych ptasząt chóry,
Ukazując dalszą drogę
Nad przepaści brzeg ponury.

Ja słuchałem śpiewnej wróżby,
I z ożywczej piłem fali,
I w głąb dzikszej coraz puszczy
Niestrwożony szedłem dalej.

Próżno groźne widma straszą,
Próżno kłęby gadzin syczą:
Biegłem naprzód zapatrzony
W jakąś jasność tajemniczą.

I przebyłem czarne puszcze,
I spienionych wód odmęty,
I stanąłem u stóp góry
Prostopadle na dół ściętej.

Na jej szczycie błyszczał zamek,
Kryształowy gmach olbrzyma,
Co zaklęciem w swojej w mocy
Najpiękniejszą z dziewic trzyma.

Przed zamczyskiem stoją smoki,
I te paszczą swą czerwoną
Ogień złoty i różowy
Pod obłoki w górę zioną,

Swe spiżowe jeżąc łuski
Bronią skarbu zaklętego;
Najpiękniejszej z wszystkich dziewic
W kryształowym zamku strzegą.

Jednak mimo czujnej straży
Jam ją ujrzał na skał szczycie,
I odgadłem, żem tu przybył,
Aby dla niej oddać życie.

Miała gwiazdę na swem czole,
Pod nogami sierp księżyca,
Błękit niebios w swoich oczach,
I aniołów cudne lica;

I od razu swem spojrzeniem
Zaszczepiła miłość w duszę:
I poznałem, że koniecznie
Do niej w górę dążyć muszę.

Więc po nagiej, gładkiej ścianie,
Zapatrzony tylko na nią,
Na powojów wiotkich splotach
Zawisnąłem nad otchłanią.

Coraz wyżej pnąc się hardo,
Już widziałem ją przy sobie...
I w zachwycie do królewny
Wyciągnąłem ręce obie.

Miałem schwycić ją w objęcia:
Gdy powojów pękły sploty,
I upadłem w głąb otchłani,
Gdzie z ran ginę i tęsknoty.

Lecz choć z serca krew upływa,
Choć w przepaści ciemnej leżę,
Jeszcze wołam: „Za nią! za nią!
Idźcie gonić, o rycerze!“

„Idźcie piąć się w górę, w górę!
Ponad ciemnych skał krawędzie;
Może przyjdzie kto szczęśliwy,
Co ją weźmie i posiędzie.

„Choć nie dojdzie, chociaż padnie,
Przecież życia nie roztrwoni,
Bo najlepsza cząstka życia
W takiej walce i pogoni.

„Warto, choćby widzieć zdala
Ów zaklęty gmach z kryształu:
Warto, płacąc krwią i bólem
Wejść w krainę ideału.

„Gdyby przyszło mi na nowo
Od początku zacząć życie,
Biegłbym jeszcze po raz drugi
Za tą piękną na błękicie!“

Z EGIPSKIEGO RYTUAŁU ZMARŁYCH.

Ozyrys szalę prawdy ujął w dłonie,
I jedno oko zatopił jastrzębie
W cichej wieczności tajemnicze głębie,
A drugie zwrócił ku doczesnej stronie,
Zkąd przylatują do niego po zgonie
Stadami ludzkie dusze, jak gołębie.

Z pomiędzy dobrych, co ciemne podwoje
Przebyli: jedni w zasług świetnej szacie
Idą odziani w purpurę lub zbroję;
Chwałą jaśnieją dumne ich postacie,
A o spełnionych czynów majestacie
Świadczą obszerne papyrusów zwoje.

W nich, hieroglifów głoski tajemnicze
O każdym wielkim wspominają czynie,
I wyliczają: wzniesione świątynie,
Prace pokoju, dzieła wojownicze,
Nadane prawa, duchowe zdobycze,
Wielkie przewroty, których pamięć słynie.

Skromnie dusz drugich zbliża się gromada,
Nie niosąc z sobą bogatego żniwa:
Każda do innych przytulić się rada,
Każda pokornie w cieniu się ukrywa,
I przed sędziego podchodząc trwożliwa,
W tych krótkich słowach z życia się spowiada:

„Proch prochów tylko wśród świata ogromu!
Nie uzbierałem zasług w mym żywocie;
Przychodzę teraz w trwodze i tęsknocie
Po zmiłowanie do wieczności domu,
Bom nie wycisnął żadnej łzy nikomu,
Ale ją nieraz otarłem sierocie."

Ozyrys sędzia treść żywotów waży
Na szali prawdy, podejmując z ziemi
Wszystkie uczynki głośne wraz z cichemi.
Łaskawy uśmiech osiadł mu na twarzy,
Jednych i drugich wedle zasług darzy,
I taki wyrok wydaje nad niemi:

„Wy, którzy dzieła spełniacie olbrzymie,
Na nowe tory pchając ludów życie!
Wy, co zwycięzko po ziemi kroczycie
We krwi i trudzie, w jasności i dymie,
Czynami swoje zapisując imie
Na korze ziemi, na niebios błękicie,

„Waszą jest głośna nieśmiertelność chwały!
Waszym blask wieczny, który was wydzieli
Z powszechnej istot ginących topieli,
I da wam żywot odrębny i trwały
Pośród pokoleń, co was będą znały
Jako swych wodzów i nauczycieli.

„Ale nie dla was słodki cień mogiły,
Nie dla was zmarłych wypoczynek święty:
Wciąż nowe rzesze będą was sądziły
I naruszały grobowiec zamknięty,
Będą przetrząsać wszystkie życia męty,
Aż przeklną jutro to, co wczoraj czciły.

„I wyjdą na świat wszystkie tajne nędze,
Które wy ukryć pragniecie głęboko...
Zdejmą z was wierzchnią złotogłowu przędzę,
I na jaw wszystkie słabości wywloką,
A pożądliwe potomności oko
Będzie się waszej urągać potędze.

„Wy zaś, o cienie! ciche, bezimienne,
Które, jak kwiaty ukryte w ustroni,
Ledwie ślad swojej zostawiacie woni,
Wy, duchy, czystem uczuciem promienne,
Które swych bliźnich niedole codzienne
Dotknięciem miękkiej łagodzicie dłoni,

„Wy domowego kapłani ogniska,
Coście przez ziemię lekką przeszli nogą,
I nie zranili w pochodzie nikogo,
Wolni od sławy, która przez zwaliska
Idąc przebojem, nieraz łzy wyciska
I burzy szczęścia lepiankę ubogą,

„Wy się nie skarżcie na pośmiertne wiano!
Bo waszą będzie nieśmiertelność cicha:
Wam będzie słodycz wypoczynku daną...
I pić będziecie z wieczności kielicha
Niepamięć, której pozazdrości pycha,
Widząc, jak dumny proch sponiewierano.

„Wy utoniecie w wielkim oceanie,
Zkąd wschodzi, dokąd znów powracać spieszy
Wszelkie dusz ludzkich anielskie świtanie,
I roztopieni w bezimiennej rzeszy
Będziecie światłem, które ludzkość cieszy
Bez względu na to, gdzie i jak powstanie.

LYKOFRON DO FATUM.

Przyjacielowi w braterskim upominku

Już dogorywał świat grecki; minęły wieki
Potężnych natchnień młodzieńczych i wyschły źró-
[dła twórczości;
Wśród sporów biegłych sofistów
Konało piękno;
Umilkły lutnie poetów. Jeden z ostatnich,
Żyjący wówczas Lykofron, co skrycie czcił jeszcze
Na progu opustoszałej [Muzy,
Świątyni bogów,
Na marmurowej tablicy, ten napis wyrył:

„O Fatum! pożerające ludzi i bogów,
Grzebiące w ciemnej otchłani długie pokoleń szeregi,
Głuche na wszelkie wołania,
I bez litości!
Czy cię czcić? czy też przeklinać? Nie wiemy.
Nie wiemy: jakim sposobem dzierżysz swą władzę
[nad nami,

Niewiedząc, czyli dłoń twoja
Świat wydobyła
Z bezwładnej chaosu nocy, co bez początku...

„Pierwotnie przed twoim tronem stał ród kwitnący
Promiennych blaskami niebian, którzy z twojego ra-
W przystępnej ludziom postaci, [mienia,
Rząd sprawowali;
Wypełniał światów przestrzenie orszak tęczowy,
I igrał w powietrznej fali ogniami nieśmiertelności,
I złotą jutrznią Olympu
Oczom śmiertelnych
Przesłaniał oblicze twoje nieubłagane.

„Ułomne były to bogi! żądz ludzkich pełne,
Dyszące gniewem, zawiścią, rozkoszujące się jękiem
Skazanych na wieczność całą
W czarnym Hadesie;
Ułomne były to bogi! chciwe swej chwały,
Cień tylko władzy znikomy posiadające w swej dłoni,
I nic nie zdolne odmienić
W przeznaczeń biegu,
Wytkniętym po za ich wiedzą przez kolej wieków:

„A przecież te ich postacie świeciły ziemi
Blaskiem wieczystej młodości i nieśmiertelnych roz-
I żyły w całej swej krasie [koszy,
W sercu człowieka;

Dobrze spoczywać mu było w cieniu ich łaski,
Zwracać się do nich z modlitwą w pragnieniach nicna-
I żądać losów odmiany [syconych,
W każdem nieszczęściu,
I wierzyć, że mu pomogą, gdy ich przebłaga.

„Ale ty, w cieniu schowana, surowa władzo,
Przygotowałaś w milczeniu koniec boskiego ich bytu,
Z spokojem patrząc się na to,
Jak giną wieczni;
Patrzałaś, jak się spychają z niebieskich wyżyn,
Jak odsłaniają śmiertelnym całą swą słabość i nędzę,
Jak zamierają powoli
W piersiach ludzkości:
Aż pogrzebałaś ich wszystkich w bezdennej próżni.

„Tak padły całe ich rody! Różowy Olymp
Girlandą gwiazd spadających w przestrzeń rozsypał
Nawet ogniste Hadesu [się ciemną.
Zagasły tonie.
Nastała posępna cisza; świat opustoszał;
Wszystko i wszystkich zrównało powszechne prawo
A człowiek samnasam z tobą [zagłady;
O ślepe Fatum!
Pozostał, mając pod nogą otchłań nicości.

„Sam, wobec twojej wszechmocy, pełnej tajemnic,
Pozostał jako niewolnik niezrozumiałej tyranii,

Wpatrzony w wieczną zagadkę
Swego istnienia,
Na gruzach wszystkich swych marzeń pozaświato-
[wych
Zobaczył tylko w błękitach cień twój bezkształtny,
Który nikogo nie karze, [olbrzymi,
Ani nagradza,
Lecz wszystkim wyznacza miarę koniecznej męki.

„Jednak twe rządy ponure nie są wieczyste;
Bo twój niewolnik powstanie w przyszłości przeciw-
Kłamliwa maro nicestwa, [ko tobie,
O ślepe Fatum!
I strąci gwałtem ze szczytu nieskończoności
Twą maskę nieubłaganą, a ta, spadając z błękitów,
Odsłoni jasnego Boga,
Który z miłością
Wciąż wyżej po szczeblach przemian prowadzi
[światy."

1879.

BOSTWO TAJEMNICZE.

Jaroslavovi Vrchlickiemu

na pamiątkę

AUTOR.

Na chmurnym szczycie góry
Kamienne jest oblicze;
Świątyni kryją mury
To bóstwo tajemnicze.

Składają mu ofiary
Zastępy wiernych sług;
Przez dym kadzideł szary
Poczerniał stary bóg.

Twarz jego skryta w cieniu,
Przyćmiona wieków pleśnią;
I stoi tak w milczeniu,
Wielbiony ludu pieśnią.

Aż nagle... tłum zdziczały
Pożogę wpada nieść,
Chce burzyć ołtarz chwały,
Niweczyć dawną cześć.

Są już w świątyni progu
I łamią wszelki opór,
Grożą staremu bogu,
Wstrząsając młot i topór.

Kapłani wznoszą dłonie,
W ich sercach ból i gniew:
W świętości swych obronie
Gotowi przelać krew;

I modły ślą: „O Panie,
Swej mocy pokaż cud,
Bluźnierców strąć w otchłanie,
Niewierny ukarz lud!“

I biorą oręż w ręce...
Wtem bóstwo na głos rzecze:
„Ja dziś mój tryumf święcę,
Więc wy schowajcie miecze!

„Nie trzeba mi obrony,
Ani cudownych sił:
Niech burzy tłum szalony
Tę postać, którą czcił.

„Ja pomsty nad winnemi
Nie daję w dłoń nikomu,
Nie chcę pomocy ziemi,
I nie chcę niebios gromu.

„Niech wznoszą swoje młoty,
Rzeźbiony krusząc kształt,
Gdyż boskiej mej istoty
Nie zniszczy żaden gwałt.

„W minionych wieków ciągu
Nieraz już ludu złość
Mściła się na posągu:
Cierpiałem gwałtów dość.

„I nieraz dzikie zgraje
Wydały mnie pożodze,
A zawsze większy wstaję,
Piękniejszy z ruin wschodzę.

„Mnie topór nie powali,
Chociaż rozbija głaz,
Lecz kształt mój doskonali
Każdy zadany raz.

„Zniszczenie mnie odmładza
I ogień mnie oczyszcza;
Padając, moja władza
Wyrasta silniej z zgliszcza.

„I zgina znów kolana
Przedemną cały lud:
A ciągła ta przemiana
To mój największy cud."

1879.

NA ZGON POEZYI.

Nie! nie umarła, jak to próżno głoszą,
Ta jasnych krain pani i królowa,
Co serca ludzkie napawa rozkoszą;
Żaden ją grabarz pod ziemię nie schowa,
Nie stłumi natchnień, które pierś jej wznoszą,
Nie skazi wdzięku cudownego słowa,
Bo nim ją w piasku mogilnym pogrzebie,
Już z nową jutrznią zabłyśnie na niebie.

Ci, którzy mówią ciągle o jej zgonie,
Czyliż nie wiedzą? że ma żywot wieczny
W piersiach ludzkości i w natury łonie,
Że się odnawia w jasności słonecznej,
W ogniu młodości, co wieczyście płonie,
I czarodziejsko w jeden węzeł splata
Marzenia ludzi z pięknościami świata.

Czyliż nie wiedzą? że ona jest wszędzie
Rozlaną w całej błękitów przestrzeni,
Że ciemnych jaskiń przenika krawędzie,
I świeżym liściem w gruzach się zieleni;
A choć zużyte porzuci narzędzie;
Choć dawne swoje koryto odmieni,
To w nowych myślach, uczuciach lub czynie,
Naprzód z wezbranym prądem życia płynie.

Na cóż więc trwoga o jej przyszłe losy?
Czyliż zabraknie wiosennych błękitów?
Czyliż zabraknie łez ożywczej rosy,
Snów bohaterskich, miłosnych zachwytów?
Czyliż ucichną tajemnicze głosy
Stłumionych pragnień i rozpaczy zgrzytów?
I czyliż wszystko w nicość się rozwieje,
Co żywi całych pokoleń nadzieje?

Nie! nic nie zginie z uczuć przędzy złotej,
Choć wzór powolnej ulegnie przemianie:
Zawsze tak samo młodych skrzydeł loty
Wzbijać się będą nad ciemne otchłanie;
Zawsze te same słowicze tęsknoty,
I żądza szczęścia ta sama zostanie,
I sercom ludzkim śpiewną da wymowę:
Dźwięki tak znane a tak wiecznie nowe.

Niewczesne wasze żale, o wróżkowie,
Co nieśmiertelnej śmierć wróżycie pewną;
Ona się w martwem nie zamyka słowie,
Nie jest zaklętą w marmur ani w drewno,
Lecz ma sklepienia niebios za wezgłowie,
A na usługi sfer harmonię śpiewną,
I rządzi z góry sercem niewolnika:
Jak chce zstępuje, i kiedy chce znika.

Ona żyć będzie, choć jej oddźwięk zgłuchnie
W lutniach śpiewaków i sercach słuchaczy;
Ona w grobowem przechowa się próchnie,
Przetrwa mrok zwątpień i burzę rozpaczy,
I świeżym ogniem w przyszłości wybuchnie,
I znowu świat ją schodzącą zobaczy
Biorącą berło, by rządzić wszechwładnie,
I znów z miłością do nóg jej upadnie.

Ta trumna, którą do grobu składacie,
Zawiera tylko kształt jej już przeżyty:
Uwiędłe kwiaty na jej ślubnej szacie,
Woń znikającą, lutni dźwięk rozbity.
Wolno wam płakać po kochanki stracie,
Co w was młodzieńcze budziła zachwyty,
Ale nie wolno orzekać, że ona
Dla serca ludzi na zawsze stracona.

Wy się nie troszczcie o nią, o wróżbici!
Bo ona w piasku mogilnym nie leży,
Lecz dawnych marzeń potargane nici
Przerabia w ciszy na strój inny, świeży,
W którym znów serca stęsknione zachwyci
Nowych kochanków i nowych rycerzy.
Nie płaczcie nad nią: bo ona w obłoku
Na chwilę tylko uszła ludzi wzroku.

SAM NA SAM.

Dzień był tak ciężki! Wieczór taki głuchy,
Wiejący grobów chłodem i żałobą.
Wszystkie życzliwe odbiegły mnie duchy,
Łzy i nadzieje unosząc ze sobą;
Więc przy ognisku wygasłem, zczerniałem,
Sam na sam tylko z nieszczęściem zostałem.

Gość to surowy: czuwa on przytomnie,
Bym chwilę w słodszem nie spoczął marzeniu,
By żaden uśmiech nie doleciał do mnie,
Na jakim słońca jaśniejszym promieniu,
I od wszelakiej pokusy mnie broni,
Zawsze w żelaznej przytrzymując dłoni.

Gość to surowy: serca nie rozpieści,
Ani mu nie da we łzy się rozpłynąć;
Lecz wszystkie naraz gromadząc boleści
Każe mu stwardnieć pod ciosem lub zginąć;
I dalej w przyszłość prowadzi mnie ciemną,
Upominając, że wciąż będzie ze mną.

Ja mu zaś mówię: pozostań na straży
Mojego życia, jak wierny towarzysz,
Do twojej groźnej przywykłem już twarzy,
I do tych ciosów, którymi mnie darzysz,
I skorzystałem wiele z twej wymowy,
Nauczycielu wielki, choć surowy!

Dość mi, że wobec ciebie nie złamany,
Na gruzach całej swej przeszłości stoję:
Na tych dni kilka nie pragnę odmiany,
Bo nie dbam więcej już o losy swoje,
Lecz gdy mnie własne cierpienia utrudzą,
Potrafię jeszcze żyć radością cudzą.

Niech więc twa ręka wszystko we mnie kruszy,
Co z osobistem pragnieniem się wiąże:
Najlepszej cząstki nie wydrzesz mi z duszy,
Ni twej światłości w której stronę dążę.
Depcz śmiało ziemską istotę ułomną,
O której duch mój i ludzie zapomną.

To, co dobrego w moich piersiach tkwiło,
Co się wiązało z wspólnem życiem świata,
To pozostanie pięknością lub siłą,
Chociaż znikoma już opadnie szata,
I w innych sercach żyć na nowo będzie,
Dotychczasowe rzuciwszy narzędzie.

Zresztą niech wszystko niepamięć pochłonie,
Co nosi doli osobistej piętna:
Niech się rozgrywa dalej w mojem łonie,
Ta walka z losem smutna i namiętna;
Bo oto w świetle grobu tajemniczem,
I ból i rozkosz zarówno są niczem!

1877.

TEATR W TUSCULUM.

Na gór albańskich łagodnym zakręcie,
Na dwóch złączonych pagórków grzebieniu,
W draperyi dębów włoskich jest wycięcie,
Gdzie gruzy drzemią w pustce i milczeniu:
Szeroko tutaj rozsiadły się kołem,
Pokryte wieków pleśnią i popiołem.

Jak tylko ścieżka z lasu się wynurza,
Rododendrony witają wędrowca,
I sam laur biegnie prowadzić przez wzgórza
Do kamiennego przeszłości grobowca,
I pokazuje ów laur wiecznie młody,
Gdzie cycerońskie kwitły wprzód ogrody.

Lecz nie dobiega do ruin, by szumem
Nie przerwać wielkiej ciszy i powagi,
I pozostaje z innych krzewów tłumem,
A gruzy leżą na wyżynie nagiej,
I patrzą w błękit; tylko wśród kamieni
Bluszcz się przeciska, jak wąż, i zieleni.

Dawnych pałaców olbrzymie szkielety
Wryły się w ziemię i zielskiem zarosły;
Gdzieniegdzie sterczą poszarpane grzbiety,
Gdzieniegdzie leży kolumny wyniosłej
Strzaskany odłam, a na wyższem piętrze
Widać odarte i posępne wnętrze.

Po nagich ścianach z różnobarwnej lawy
Sączy się wilgoć i kroplami ścieka,
A te łzy żywią w szczelinach mech rdzawy,
Co jak krwi plamy wygląda z daleka;
Lecz nic dziwnego, że płacze ruina,
Jeśli swą dawną wielkość przypomina.

Białych okruchów marmurowych mnóstwo
Wala się wszędzie pod nogą przechodnia;
Może nie jeden cezar albo bóstwo,
Nie jedna wielkość i nie jedna zbrodnia;
Ale czas zgładził całe pokolenia
Bogów i ludzi, z gliny, czy z kamienia.

Zdala od ruin natłoku, samotnie,
Tuż u podnóża skał wiszącej ściany,
Rzymski teatrzyk wdzięczy się zalotnie
W kotlinie liściem akantów ubranej:
Po stopniach spływa półkolem ku scenie,
Gdzie dwie kolumny zdobią podwyższenie.

Czas uszanował to klasyczne dzieło,
Tylko ciemniejsze narzucił mu tony;
W liniach się całe mistrzowstwo zamknęło,
Co dało kształtom wdzięk niewysłowiony;
I jest podobnym ten teatrzyk szary,
Do wbitej w ziemię marmurowej czary.

Sklepieniem są mu niebieskie błękity,
Co ściany świateł obmywają strugą;
I tak błękitną kopułą nakryty
Na widzów czeka: ci śpią nadto długo!
I próżno scena wdzięcznie się przymila,
Myśląc o jakiej tragedyi Eschyla.

Wszystko gotowe! krajobraz gotowy!
Widać kolumny portyku; za niemi
Lasy i wzgórza, strumienie, parowy,
I wielki obszar cudnej, włoskiej ziemi:
Wszystko tak piękne i pełne kolorów,
Brak tylko dotąd widzów i aktorów.

Widzem ja byłem; zstąpiłem z pagórka,
Siadłem na stopniu, i słucham, i patrzę:
Oprócz mnie jedna przybyła jaszczurka,
I drugie miejsce zajęła w teatrze;
I głucha cisza wypełniła mury,
Oczekiwaniem na tragedyi chóry.

Ale chór dawno nad ruiną przewiał
I w kraj przeszłości uleciał zamierzchły;
Ustały skargi, krwawy miecz zardzewiał,
Wyniosłe cienie bohaterów pierzchły,
I zeszły z sceny pokolenia całe,
Unosząc z sobą rozpacz, wstyd, lub chwałę.

Dziś nic już śpiącej fali nie poruszy,
I grobów ciszy nie przerwie pokutnej:
Scena już pusta, i tylko w mej duszy
Na nowo dramat rozgrywał się smutny,
Po stosach ofiar zdążając przez wieki
Ku jakiejś gwiaździe jasnej i dalekiej.

Tusculum 1872 r.

DWA ANIOŁY.

Dwa anioły spotkały się w locie,
Ponad ziemią, wśród błękitnych mórz:
Jeden płynął w purpurze i złocie,
Miał wejrzenie jakby rannych zórz;

Drugi w czarnych aksamitach tonął,
Łez brylantem świecił jego wzrok;
A na głowie wieniec z gwiazd mu płonął
I rozjaśniał nieskończony mrok.

„Wracam z ziemi — rzekł pierwszy z aniołów —
Gdziem w ogrodzie życia kwiaty siał,
Rozdmuchiwał płomienie z popiołów
I przyspieszał nowy rozkwit ciał.

„Tam widziałem, w ciemnej nieszczęść nocy,
Dwóch serc czystych krwawy z losem bój:
Dwojga istot gorzki ból sierocy,
Ich samotny, ciężki życia znój.

„Więc zbliżyłem dwie niedole z sobą
I miłości owiałem je tchem;
A z dwóch smutków, nad dawną żałobą,
Szczęście rajskim wykwitnęło snem!"

„Ja — rzekł drugi w gwiaździstej koronie —
Wracam także z owych ziemskich pól,
Gdzie na chorych sercach kładłem dłonie
I na zawsze koiłem ich ból.

„Tam spotkałem, pomiędzy innemi,
Jedną duszę szlachetną, bez plam,
I kochałem tego syna ziemi,
Co pięknością dorównywał nam.

„Lecz dojrzałem, że w żywota męce
Zaczął chwiać się: rdzy dostrzegłem ślad,
I strwożony wyciągnąłem ręce,
By, padając, nie poplamił szat.

„I miłością prowadzony czystą,
Jak najciszej zbliżyłem się doń:
Zarzuciłem zasłonę gwiaździstą
I na sercu położyłem dłoń.

„W mych objęciach on teraz bezpieczny,
Bo już władzy nie ma nad nim czas:
I zostanie w swej piękności wiecznej,
Niedotknięty żadną z ziemskich skaz".

1878.

CZARODZIEJKA.

Z wdziękiem wiosny nieśmiertelnym,
W jutrzenkowym blasku szat,
Wraz z orszakiem swym weselnym,
Czarodziejka idzie w świat:
Z uwieńczoną biegnie skronią,
Z śpiewem ptasząt, z kwiatów wonią.

Przed nią sylfów jasna rzesza,
Swój weselny nucąc chór,
Na obłokach tęcze wiesza,
I otrząsa rosę z piór,
I obwieszcza jej przybycie:
Świeżą rozkosz, nowe życie.

Świat zakwita cały przed nią
I różowy bierze blask,
Płonie szczęścia przepowiednią,
Pożądaniem słodkich łask.
Wszystko wschodzi, wszystko rośnie,
Pod jej stopą drżąc radośnie.

Ona z twarzą uśmiechniętą,
Coraz nowych gości zwie
Na weselne życia święto,
Na godowe krótkie dnie.
I z złotego swego lejka
Słodycz sączy czarodziejka.

Wiecznie piękna, wiecznie młoda,
Biesiadników poi krąg,
Ledwie komu czarę poda,
Już ją wyrwie z chciwych rąk
I unosi z sobą dalej,
Na świetlanej biegnąc fali.

Próżno za nią skargi gonią,
Próżno westchnień płynie szmer:
Ona z śpiewem, blaskiem, wonią,
Już do innych zdąża sfer,
Zawiedzionym, co się skarżą,
Z uśmiechniętą mówiąc twarzą:

„Czyż sądzicie, że wy jedni,
Macie zgarnąć cały dział,
Waszym żądzom odpowiedni,
I nasycić pragnień szał?
Że wam jednym tylko służę,
Niosąc życia miód i różę?

„Czyż sądzicie, że mnie wiele
Obejść może ludzki los?
Ja natury spełniam cele,
Nie zważając na wasz głos;
Nikt nie wstrzyma mnie na drodze,
Jak przybyłam, tak odchodzę.

„Muszę naprzód iść bezwzględnie,
Wszystkim nowy wieścić dzień:
Co zakwitło, niechaj zwiędnie,
Niech opada w proch i cień,
Ustępując miejsca nowym
Pączkom wonnym a różowym.

„Korzystając zatem z chwili,
W której napój niosę wam...
Kto raz czarę mą wychyli,
Co w niej znajdzie — mało dbam;
Czy się cieszy, czy się żali,
Niewzruszona idę dalej.

„Nie mam czasu tych żałować,
Co przeżyli porę swą:
Inne usta chcą całować,
Inne serca kochać chcą;
Przyszłość świata, niecierpliwa,
Głośnym krzykiem mnie przyzywa!

1879.

TANTAL.

Niegdyś w pragnienia wieczystego męce,
Na wskróś palony żary piekielnemi,
Napróżno swoje wyciągałem ręce
Po owoc, który uciekał przed niemi,
I próżno usta swe na fali kładłem,
Goniąc za wiecznie kłamliwem widziadłem.

We mnie i za mną wrzało całe piekło,
Na pastwę mękom wydając mnie nowym;
Pierś moją bowiem trawioną i spiekłą,
Erynnye biczem krwawiły wężowym,
I urągały mi te mściwe duchy,
Patrząc na mojej wściekłości wybuchy.

A ja naówczas ciągle pożerany
Żądzami, które w nieskończoność rosły,
Byłem jak ogniem ziejące wulkany,
Na przekór losom groźny i wyniosły,
I jakaś wielka, tytaniczna siła
W wnętrznościach moich skrępowana tkwiła.

Więc choć bóstw łaski wzywałem w mej kaźni,
To prośba moja do podziemnych grzmotów
Była podobną; i sam bez bojaźni,
Przeciw ich woli stanąć byłem gotów;
Bom czuł, że w gniewnej ducha zawierusze
I więzy moje i świat cały skruszę.

Teraz bogowie próśb mych wysłuchali,
I mąk wieczystych zdjęli ciężar ze mnie:
Pierś się już moja płomieniem nie pali
I nie pożądam niczego daremnie,
I nic nie pragnę, za niczem nie gonię,
Lecz obojętnie patrzę w wieków tonie.

Dzisiaj piekielne mnie się nie śnią rzeczy,
Z moich udręczeń nikt się nie natrząsa;
Głos Eumenid już mi nie złorzeczy,
I bicz wężowy serca mi nie kąsa:
Ucichły jęki, zagasły płomienie,
I martwe tylko nastało milczenie.

A oto w takiem odrętwieniu głuchem,
W którem mnie żadna boleść nie dosięga,
Wraz z żądz straconych burzą i rozruchem,
Cała się moja rozpierzchła potęga,
I dziś minionych męczarni żałuję,
Gdyż się nędzniejszym, niżli przedtem czuję.

Wróćcie mi zatem, nieśmiertelne bogi,
Grozę mych piekieł i straszliwe kary!
Wróćcie mi widok Erynnyi złowrogi
I niezgaszone pragnienia pożary!
Niech się rwie Tytan ze swego łańcucha,
Niech pragnie, cierpi, lecz niechaj wybucha!

1876.

EPAMINONDAS.

W chwili zwycięztwa, wśród walczących tłoku,
Żelazny grot utkwił w jego boku,
I przeszył pierś i pozostał w ranie.
Na tarcze swe wzięli go Tebanie
I do namiotu zanieśli. Obficie
Krew uchodziła, a z nią razem życie.
Wódz podniósł głowę i na orszak zbrojny
Badawczo wzrok zwrócił niespokojny.
Trwoży go boleść na twarzach wyryta!
„Czy ustał bój? — niecierpliwie pyta —
„Czy z rąk nam pewne zwycięstwo wydarto?"
Odrzekli: „Wszystko skończone ze Spartą,
I nadal jej dziś zwycięzkie Teby
Nie będą miały lękać się potrzeby".
„Zkądże więc żal w waszych sercach gości,
Zamiast tryumfu dumy i radości?"
A na to w głos rzekną mu rycerze:
„Najszlachetniejszą los nam zdobycz bierze,
Gdyż żywot twój, tak ojczyźnie drogi,
Uciekające zabrały nam wrogi.
I szkoda nam twych dni pełnych chwały,
Pod których tarczą Teby zwyciężały,

I smutno nam, że tak bez potomków,
Którym-byś sławę przekazał wśród ziomków,
Odpływać masz na posępnej łodzi.
Wszak cenić życie wszystkim nam się godzi?"
„I ja też cenię — z dumą wódz odpowie —
Ów życia dar, który nam bogowie
Zsyłają na to, by wśród przeszkód wielu,
Wytknąwszy cel, prosto iść do celu
I zbierać słodycz po drodze rozlaną
I jasność niebios podziwiać różaną.
Jam ten dar cenił; bo kto w swojej dumie
Pogardza nim, pewnie ten nie umie
Żyć i umierać. Lecz dlatego właśnie,
Żem cenił życie, teraz, kiedy gaśnie,
Bez żalu mogę rzucać jasność słońca,
Widząc je czyste i piękne do końca.
Ginąć w sam czas, wśród walki zwycięzkiej,
To najpiękniejszy koniec pracy męzkiej;
I bardzo mnie obdarzyły nieba,
Dając i żywot i zgon, jaki trzeba.
Pięknie mi przeszedł cały wiek młodzieńczy,
A teraz jeszcze najpiękniej go wieńczy
Chwalebna śmierć, która pracownika
Strudzone oczy pod wieczór zamyka.
Nie schodzę przytem z świata bezpotomnie;
Mam córki dwie; te zostaną po mnie:
Leuktra jedną, Mantinea drugą.
Te będą żyć po mym zgonie długo".

1879.

ODPOWIEDŹ PRZESZŁOŚCI.

Czasem, gdy smutny o przeszłości marzę,
Ona przedemną staje jak w obrazku:
Widzę pogodne greckich mężów twarze
Od wewnętrznego jaśniejące blasku,
I widzę młodzież, jak w wesołym gwarze,
Wśród mirtowego mocuje się lasku,
I widzę starców uśmiech, który leci
Zadowolniony, do niebios i dzieci.

Wszędzie zdrój życia jasnym nurtem płynie
I harmonijnie dla ucha szeleści;
Tyle piękności w tej cudnej krainie,
Tyle rozkoszy i szczęścia się mieści,
Tyle odwagi w każdym ludzkim czynie,
I tyle nawet spokoju w boleści!...
Każdy wesoło w błękity spoziera,
Bez skargi żyje, bez jęku umiera.

Młodość, tak w siłę i powab obfita,
Nieśmiertelnością z bóstwami się dzieli;
Poezya życia pięknością zakwita
W melodyach pieśni i posągów bieli;
I starość nawet, choć dni swoich syta,
Wieczornym blaskiem jeszcze się weseli,
Przez marmurowe portyków kolumny,
Nowych zwycięzców śledząc pochód dumny.

Każdy znajduje szczęście, choć nie szuka,
I słodkim wdziękiem życia się napawa:
Mędrcom nie chmurzy czoła ich nauka,
I bohaterom nie cięży ich sława;
A choć niedola do grodów zapuka,
Choć na kraj spadnie jaka klęska krwawa:
Nikt nie narzeka, lecz wszyscy się zbroją,
Idąc z pogodą pełnić służbę swoją.

Więc gdy porównam tę słoneczność ducha.
Z jaką przez ziemię niegdyś szli szczęśliwi,
Do nocy, która otacza nas głucha,
Do tej goryczy, co nam usta krzywi
I z serca krzykiem rozpaczy wybucha:
Ta nagła zmiana straszy mnie i dziwi,
I nie wiem, czemu teraz mrok osłania
Ziemskich jutrzenek promienie świtania?

Nie wiem, dlaczego ludzie tak się chwieją
I przeklinają dzień istnienia krótki?
Czemu nie żyją przyszłości nadzieją,
Lecz snują z siebie samolubne smutki?
Nie wiem, gdzie z wieków minionych koleją
Pierzchły szlachetne do życia pobudki?
Gdzie się podziały życiodajne zdroje,
W których świat dawny czerpał siły swoje?

Zniknione przeto przywołuję cienie,
By powiedziały: w czem ich tajemnica?
Zkąd brały swoje ożywcze promienie
I uśmiech, który przystrajał im lica?
Gdzie kupowały i po jakiej cenie
Szlachetny spokój, który nas zachwyca?
A tak pytając, gdy ucho wytężę,
Słyszę odpowiedź, co ślą greckie męże.

„Za naszych czasów — powiadają oni —
Nie samą także rozkosz niosło życie;
Lecz nikt nie zdążał w namiętnej pogoni
Za marą szczęścia, wypieszczoną skrycie,
Nikt samolubnej nie wyciągał dłoni,
Ani się w własnym nie zasklepiał bycie:
Każdy dla drugich żył, a w dumie męskiej
Miał swoją tarczę na ciosy i klęski.

„Życie człowicka wówczas się zlewało
Z życiem narodu w jeden silny związek,
I pnia swojego wielkością i chwałą
Żywił się zawsze splot świeżych gałązek;
Dla wszystkich dobro powszechne jaśniało,
Wszystkim do szczęścia starczył obowiązek;
Los osobisty rzeczą był podrzędną:
Każdy o wieńcach myślał, co nie więdną.

„Każdy krąg swego istnienia rozszerzył,
Żyjąc w swych ojcach i braciach i synach,
I całe dzieje swej ojczyzny przeżył
W nowych nadziejach i spełnionych czynach,
I w nieśmiertelność swojej pracy wierzył:
W myśl kiełkującą wiecznie na ruinach,
Co w doskonalszej wschodząc wciąż postaci,
Za trudy ojców potomnym zapłaci.

„Tak szliśmy wiedząc, gdzie dążym i po co,
Z obróconemi do światła oczami,
Tęczowe blaski, co dzień życia złocą
W wieczne piękności przerabiając sami;
Te dziś nad grobu tajemniczą nocą
Z rozwiniętemi wzlatują skrzydłami
I wyraz naszej pogody i siły
W kształcie posągów jasnych uwieczniły."

ODA.

W ciemności czasów,
Wśród krzywd i gwałtów kolei złowrogiej,
Wśród krwawych o łup zapasów,
Wśród nienawiści i trwogi,
Nad grozą powszechną bytu,
Nad dzikim żyjących zgiełkiem,
Jak gwiazda na tle błękitu,
Niebiańskim płonie światełkiem
Miłość, co całej królując naturze
I słodsze budząc pragnienia
Ucisza walki... i burze
W jasność przemienia.

Cichą ponętą,
Pociągiem zmysłów i czarem rozkoszy,
Srogość łagodzi zawziętą,
Zajadłość zemsty rozproszy.
Gdy usta ogniem zapali
I pocałunkiem połączy,

To z ust płonących korali
Do serca słodycz przesączy,
I z miłosnego kochanków uścisku
Wytwarza węzeł wśród świata,
Który przy wspólnem ognisku
Wrogów pobrata.

Z namiętnych zmysłów upojeń,
Z cielesnych pragnień i szału,
Dnieje świt uczuć i rojeń,
Brzask ideału.
I płomień żądzy znikomej
Blaskami coraz jaśnieje czystszemi,
Ogarnia światów ogromy,
Niebiosa zbliża ku ziemi.
Coraz to głębiej w sferę ducha sięga,
I w sercu, co zwolna mięknie,
Rozmiłowanie w nieśmiertelnem pięknie
Szczepi miłości potęga.

Coraz to wyżej i dalej
Chór duchów wiedzie skrzydlaty,
I na kształt świetlanej fali
Przenika światy.
Tchnieniem harmonii i zgody,
Boski porządek z zamętu dobywa,

Wiąże plemiona i rody
W jednej całości ogniwa:
Nie tylko samą rozkoszą nietrwałą
Sercom napawać się każe,
Lecz uczy wznosić dla Bóstwa ołtarze
I jego oddychać chwałą.

Po szczeblach stopniowych przemian,
Na idealnej podnosząc się zorzy,
Zwycięzka miłość dla ziemian
Najsłodsze dary swe mnoży:
W stubarwne mieniąc się blaski,
Cierpiącej, znękanej rzeszy,
Litości, pociechy, łaski,
Promienie rozsyłać spieszy.
Z pod stóp jej wszystkie uczucia wykwitną,
Zdobiąc owiane jej tchnieniem istoty;
I poryw serca staje się już szczytną
Miłością prawdy i cnoty.

Świat się zaludnia powoli
Orszakiem czystych, szlachetnych postaci,
Co cudzej służą niedoli,
Dla szczęścia pracują braci.
Synowie światła i chwały,
Jasne półbogi się wznoszą,

Którym kochanką świat cały,
A poświęcenie rozkoszą.
I idą własną ofiarować mękę,
Z wielkiej dla istot cierpiących miłości,
Dobra i prawdy zapalać jutrzenkę
W ogniu duchowej wolności.

DO MŁODYCH.

Szukajcie prawdy jasnego płomienia,
Szukajcie nowych, nieodkrytych dróg:
Za każdym krokiem w tajniki stworzenia
Coraz się dusza ludzka rozprzestrzenia,
I większym staje się Bóg!

Choć otrząśniecie kwiaty barwnych mytów,
Choć rozproszycie legendowy mrok,
Choć mgłę urojeń zedrzecie z błękitów,
Ludziom niebiańskich nie zbraknie zachwytów,
Lecz dalej sięgnie ich wzrok.

Każda epoka ma swe własne cele
I zapomina o wczorajszych snach:
Nieście więc wiedzy pochodnię na czele
I nowy udział bierzcie w wieków dziele,
Przyszłości podnoście gmach!

Ale nie depczcie przeszłości ołtarzy,
Choć macie sami doskonalsze wznieść;
Na nich się jeszcze święty ogień żarzy,
I miłość ludzka stoi tam na straży,
I wy winniście im cześć!

Ze światem, który w ciemność już zachodzi
Wraz z całą tęczą idealnych snów,
Prawdziwa mądrość niechaj was pogodzi:
I wasze gwiazdy, o zdobywcy młodzi,
W ciemnościach pogasną znów!

KANTATA

NA JUBILEUSZ J. I. KRASZEWSKIEGO.

CHÓR.

Szczęśliwy, komu w życiu dano
Doczekać plonu swojej pracy,
I ujrzeć myśl swą przechowaną
I najpiękniejsze zdobyć wiano,
Z kłosów, co niosą mu rodacy.

Szczęśliwy, kto swą piersią własną
Wykarmił całe pokolenia,
I wytknął dla nich drogę jasną,
I w nowych jutrzniach, co nie gasną,
Ogląda dzieło odrodzenia.

Szczęśliwy, kto naprzód w znoju
Z hasłami, które ludzkość budzą;
I walcząc w ciszy i pokoju
Dokonał ludzkich dusz podboju,
Niezaćmionego krzywdą cudzą.

Szczęśliwy! Palmy zwycięztw z dłoni
Nie wydrze ramię mu niczyje;
Burza go nieszczęść nie dogoni:
On wyszedł z ciemnej losów toni
I nieśmiertelny w sercach żyje.

GŁOS.

I naród żyje, gdy mu przodem
Pochodnia wielkich myśli świeci;
I jeszcze wielkim jest narodem,
Gdy się odświeża życiem młodem
Wydając z siebie takie dzieci.

Żyje, gdy na świat z jego łona
Wychodzą zbrojni wciąż rycerze,
Których wróg żaden nie pokona,
A ludzkość ze czcią ich imiona
Wpisuje w dziejów karty świeże.

Żyje ten naród, co prawdziwą
Zasługę pojmie i ocenia,
I w ślad za myślą idzie żywą
I zbiera świeżych kłosów żniwo
Na drogach swego odrodzenia.

CHÓR.

Więc w uroczystym dziś obchodzie,
Wielkiego męża czcijmy święto:
W bratniej miłości, w bratniej zgodzie,
Nieś mu życzenia swe Narodzie,
Niech kończy pracę rozpoczętą.

Niech rozpościera jasność wszędzie,
I zbiera owoc swoich trudów:
W wielkich zdobywców stając rzędzie,
Niechaj Ojczyźnie swej zdobędzie
Cześć i braterstwo wszystkich ludów.

Niech dzień ten przyszłość nam zapowie,
Do której zwolna ludzkość wiodą
Najszlachetniejsi jej synowie:
A czyn zamknięty dotąd w słowie
Najmilszą będzie mu nagrodą.

W CIEMNOŚCI GROBU.

Ciebie już w ciemność spowitą i w ciszę,
Sen nieprzespany łagodnie kołysze;
Na grozę śmierci oczy ci zasłania
Wiecznemi blaski rajskiego świtania,
I żadnych w sobie udręczeń nie mieści,
I żadnej z życia minionych boleści.

Za to ta cała noc grobu straszliwa,
Mnie bezsennego swym mrokiem pokrywa,
Przez niedomknięte wciskając się oczy,
Widomą grozą serce me otoczy.

Za to mnie śmierci milczenie powleka,
Jak zbudzonego w mogile człowieka,
Co z przerażeniem w tej podziemnej ciszy
Zamierający własny krzyk swój słyszy,
I czuje rozpacz, co nim jeszcze miota,
I całą gorycz zgonu i żywota.

CHÓR OCEANID.

O, nieustanny wszech żywiołów sporze,
Nieskończoności wstrząsający morze,
  Prądami wciąż się ścierających sił:
Olbrzymia walko, co trwając bez końca,
Zapalasz jedne nad drugiemi słońca,
  I w ruch wprowadzasz wszechświatowy pył!

Tyś jest wyrazem twórczej myśli bożej,
Która przez ciebie ożywia i tworzy,
  I dzierży wieczny nad światami rząd;
Ty jesteś prawem powszechnem istnienia,
Które wciąż światów powierzchnię odmienia,
  I toczy naprzód rwący życia prąd.

Ty wszystkie wrogie potęgi i władze
W żywej wszechświata trzymasz równowadze
  I gwiazd krążących obejmujesz ster;
Ty z sprzecznych dążeń i kierunków wielu
Wytwarzasz jedność działania i celu,
  Harmonię wszystkich wojujących sfer.

Wszędzie dokoła, gdzie tylko drga życie,
W bezbrzeżnych głębiach, w gwiaździstym błękicie,
Na ziemi, niebie, w ciemnem łonie mórz,
W tajniach natury i w dziedzinie ducha,
Zacięta walka ogniami wybucha,
W zniszczeniu siejąc światło nowych zórz.

Na fali wiecznie zmiennej i ruchomej
Wszystkie z nicestwa dobyte atomy
W ciągłych przewrotach o byt walczą swój;
I żywych istot rozmnożone plemię
Zdobywa sobie i wydziera ziemię,
I bogi wiodą na błękitach bój!

UŚMIECH.

Na wstępie życia, przez dobre anioły
Zesłany w darze niewinnemu sercu,
Na ustach uśmiech zjawia się wesoły,
Igra, jak motyl, na łąki kobiercu.

Tak łatwo leci, tak swobodnie wschodzi,
Nie potrzebując jeszcze nic dla siebie:
Sama go jasność chwil porannych rodzi,
I świeżość wiosny rozlana po niebie.

Później ten uśmiech głębsze bierze piętno,
Za marą szczęścia i piękności leci;
Melodyą uczuć dźwięczy już namiętną,
Ogniem zachwytów i pożądań świeci.

.

Utracił spokój niewinności błogi,
I falą wzruszeń gwałtownych wybucha,
I na rozstajne wylatuje drogi
Wśród krwi podszeptów i porywów ducha.

A gdy się w ciemnych przepaściach zabłąka,
Przejdzie zawodów kolej i zwątpienia,
Wtedy, ach! dziwną goryczą przesiąka,
I na szyderczy uśmiech się zamienia.

I twarz złośliwym wykrzywia wyrazem,
Którym chce dusza urągać zatruta,
I brzmi boleśnie i złowrogo razem,
Jak rozstrojonej harfy dzika nuta.

Lecz i ten uśmiech, co swe rany smaga,
I świat wyszydza i światu się skarży,
Rozwieje życia surowa powaga,
Nie da mu powstać na szlachetnej twarzy.

Wtedy znów ponad smutkami wszystkiemi
Litośny anioł, który nas osłania,
Przysyła uśmiech ostatni na ziemi,
Uśmiech dobroci, uśmiech pobłażania.

1879.

ZAPUSTNY OBRAZEK.

Noc zapadła; niebiosa jasne i pogodne
Błyszczą się jakby modre, zamarzłe jeziora:
Tak dla oka są sine, przejrzyste i chłodne.
Dawno zagasł ostatni rumieniec wieczora,
A biały odblask śniegu w powietrze odbity
Dziwną martwością powlókł zmrożone błękity.
Jasność błękitna w górze, srebrzysta u spodu,
Drżącą a chłodną falą przenika świat cały;
I księżyc po niebiosach, jak po tafli lodu
Ślizga się i na pola patrzy, co zbielały.
Gwiazd nieskończoność: wszystkie zaiskrzone
[mocno
Błyskają migotliwem, jaskrawem światełkiem
Nad miastem, co się właśnie budząc porą nocną,
Zawrzało wesołością i ruchliwym zgiełkiem.
Na ulicach dokoła ruch i wrzawa wzrasta;
Snuje się pełno ludzi, a powozy w biegu
Niemiłosiernie skrzypią po przymarzłym śniegu;
Słychać piosnki hulaszcze. Tu ówdzie wśród
[miasta

Dolatuje muzyka z oświetlonej sali;
Przez okna widzieć można falujące głowy;
Tłum się tłoczy do wejścia, bo to bal ludowy,
A taniec już się zaczął. Kilka ulic dalej,
Wśród orszaku ciekawych, do pałacu bramy,
Zastawionej kwiatami, szereg karet liczny
Zajeżdża, a z nich strojne wysadzają damy
Galonowi lokaje. Bal będzie prześliczny!
Gdzieniegdzie po ulicach krzątają się maski,
Zdążając na zabawę: djabły, arlekiny,
Trzęsą się wprawdzie z zimna, lecz nie tracą miny;
Biegną wesoło: słychać pusty śmiech i wrzaski.
Wszystko się krząta, bawi, albo bawić żąda:
Nawet nędzarz nieśmiało do szynku zagląda,
Patrząc z niemą zazdrością na szczęśliwe pary,
Co się kręcą przy brzęku niestrojnej gitary,
Której pomaga zgrzytem chrapliwa basetla.
Dla niego ta izdebka duszna, odrażliwa,
I ta lampa dymiąca, która ją oświetla,
Ten hałas i ta kłótnia, co się nagle zrywa,
Ach, tyle ma uroku i tyle go nęci
Ten napój, co przynosi ulgę dla pamięci.
Zapusty! Nic dziwnego, że się ludek cieszy;
Prócz chleba, trzeba jeszcze dla łaknącej rzeszy
Zapomnienia o troskach codziennych żywota,
Odurzenia i szału, dla myśli spoczynku:
A więc wszystkich porwała chwilowa pustota
Zacząwszy na pałacach, skończywszy na szynku.

PRZY KOMINKU.

Gdy się ogień na kominku pali,
Lubię grzać się przy jego płomieniu,
I w przekwitłej młodości wspomnieniu
Odgrzebywać te iskry błyszczące,
Co tryskają z płomienistej fali,
I znikają w ciemnościach gasnące.

Złote głoski w ognisku zawarte
W szereg natchnień minionych układam;
Złote mary wstające spowiadam,
O przeszłości mówiące tak wiele,
I na nowo odtwarzam tę kartę,
Co już dawno zastygła w popiele.

Przez girlandy tańczących płomyków
Wzrok mój leci i blaskiem się pieści:
Wszystkie życia prześnione powieści
Pogrzebane w sercu mojem na dnie,
Występują z zamglonych tajników
I przez chwilę znów błyszczą tak ładnie.

Na stos jeden ułożone drewna
Zdają mi się być stosem pogrzebu,
Zkąd burzliwie ulecі ku niebu
Ta pogańska wszech bogów kapłanka,
Mara jasnej młodości powiewna,
Biegnąc szukać nowego kochanka!

ŚWIATŁA.

Niebieskie światła po drżącym eterze
Ślą jasność swoją w bezbrzeżne otchłanie,
A nikt nie dojdzie: skąd się blask ich bierze,
I jak się w ciemność rozprasza świtanie?
I nikt nie zbada: co i w jakiej sferze
Z tej promienistej wędrówki powstanie?
Lecz moc nie ginie i promień skrzydlaty
Do życia nowe powołuje światy.

Tak samo światła ludzkich dusz, co płoną
I ponad ziemią znaczą drogę jasną,
Gdy promieniami w nieskończoność toną,
Chociaż się w ciemność rozproszą, nie zgasną;
Ale dalekiej przyszłości zniknioną
Przekażą siłę i słoneczność własną:
Aż z owych blasków rozpierzchłych w przestrzeni
Nowa jutrzenka ludzkość opromieni.

DZISIEJSZYM IDEALISTOM.

Czyliż fałszywy wzbrania wam wstyd
Z obłoków zstąpić do ziemian?
I czynnie walczyć o dalszy byt
Wśród życia wstrząśnień i przemian?

Czyliż sądzicie, iż spadek wasz
Całą wam wieczność zapewni?...
Że odwracacie od ziemi twarz
Bezczynni, a jednak gniewni.

Wprawdzie bogaty wzięliście dział,
Przyjąć dziedzictwo gotowi;
Lecz on na zawsze nie będzie trwał,
Gdy zasiew żniwa nie wznowi.

Kto żyje z plonu dawniejszych lat,
Przeżuwa przodków dostatki,
Temu dowództwo odbierze świat,
A mienie wydrą wypadki!

Do tych należy jutrzejszy dzień,
Co nowych łakną zdobyczy:
Kto się usuwa w ciszę i w cień,
Ten się do żywych nie liczy.

Dziś hasłem walka: i trudno już
Milczeniem przeczyć jej skrycie:
Dziś trzeba zstąpić w sam środek burz,
Potrzeba walczyć o życie!

Naprożno chcecie wykluczyć gwałt
Z duchowej sfery istnienia:
On tylko wyższy przybiera kształt
W głębiach ludzkiego sumienia.

Lecz i tu walka powszechna trwa,
Podległa duchów potrzebie;
A ten zwycięzcą, kto drugim da
Najwięcej światła od siebie!

NAPAD NA PARNAS.

Dobrze było w swoim czasie
Apollina służbie głodnej,
Mieć kąt własny na Parnasie
Ciepły, cichy i wygodny.

Dobrze było w laurów cieniu,
Pod opieką Muz dziewięciu,
W poetycznem zachwyceniu
Żyć po własnem wniebowzięciu.

Wierne sługi łaska Feba
Przyodziała w blask sowicie,
Wszystko było, co potrzeba
Na Parnasu górnym szczycie.

Można było pełną dłonią
Z kastalskiego czerpać zdroju,
I oddychać kwiatów wonią
W błogiej ciszy i spokoju.

Do przejażdżki służył stary
Lotny rumak, co miał skrzydła,
A śmiertelni nieśli dary
I pochwalny dym kadzidła.

Nie zła była to dzierżawa!
Gdy kto innych nie miał włości:
W gruncie rzeczy dym i sława
Także godne są zazdrości.

Więc i wielcy, więc i mali,
Brnąc przez wszystkie życia burze,
Jak umieli, tak się pchali
Na Parnasu święte wzgórze.

Ten przy lirze, ten przy gęśli,
Ów z piszczałką nawet lichą,
Wszyscy z góry światem trzęśli,
A śmiertelni byli cicho.

Chociaż który śpiewał cienko,
Chociaż czasem rozdarł uszy...
Lud się pieścił wciąż piosenką,
Bo melodyę miał w swej duszy.

Aż tu naraz zgiełk i wrzawa:
Bartki, Wojtki, nawet Kasie,
Zaprzeczają wieszczom prawa
Do pobytu na Parnasie.

Gmin się burzy, rwie się czeladź,
I przekupki i studenci,
Wszyscy krzyczą: „Siec i strzelać!
Niechaj giną wniebowzięci!“

Wydostali gdzieś z przedpiekla
Pozytywnych dział bateryę;
W pękające bomby Haeckla
Uzbroili artyleryę.

Przypasali miecz Darwina
Mściwi, groźni i zajadli,
I do gaju Apollina
Na drzemiących wieszczów wpadli.

Łatwo rzeszę zgnieść bezbronną,
Łatwo krwawe sprawić rzezie,
Gdy najeźdźcy walczą konno
Na pochodzeń hypotezie;

Induktywną swą metodą,
Ewolucyi chytrą sztuką,
Jednych rąbią, drugich bodą,
W prawo, w lewo, tną i tłuką.

Nikt nie ujdzie ich pogoni;
Próżno śpiewny chór się cofa:
Już nikogo nie zasłoni
Słodko brzmiącej pieśni strofa.

Wykarmione wieszczym duchem
Ody, hymny, lub peany,
Jęczą teraz pod obuchem
Mechanicznej sił przemiany;

Tren miłosny, lub ballada,
W swym rynsztunku idealnym,
Wszystko pierzcha, wszystko pada,
Przed doborem naturalnym.

Ta broń straszna, w ręce tłumu
Rozstrzygnięcie daje łatwe:
W imię świętych praw rozumu
Apollina biją dziatwę.

Trubadury i minstrele,
Poetyczne bardów pułki,
Otrzymawszy sińców wiele
Przez Parnasu mkną zaułki.

I niejedna nawet Muza,
Zaskoczona przez studenta,
Oberwała nagle guza,
Który długo popamięta.

Aż nareszcie śpiewne bractwo,
Woła: „Ratuj Apollinie!
Ukarz jawne świętokradztwo,
Bo sług twoich ród zaginie.“

„Barbarzyńcy ci zuchwali
Już niczego się nie zlękną:
Gdy nie wstrzymasz, pójdą dalej
Nieśmiertelne burzyć piękno.

„Widzisz, panie, straszny zamęt,
Broń więc wiernych od bezprawia".
Na te skargi, na ten lament
Melodyjny bóg się zjawia.

W złotym blasku uśmiechnięty
Na burzliwą patrzy młodzież,
Co napadłszy wzgórek święty
Potargała wieszczom odzież.

Z olympijskim bóstw spokojem
Przed zwycięzców zastęp schodzi,
I ucisza tchnieniem swojem,
Przemawiając tak do młodzi:

„Skąd te gniewy? skąd te krzyki?
Skąd ten rozbój mojej służby?
Skąd ten cały zamach dziki
Na śpiewaków, sny i wróżby?

„Skądże przyszło wam do głowy
Napaść cichy Muz przybytek,
I doktryny sztandar nowy
Na tak śmieszny wziąć użytek?

„Czyż sądzicie, że dorywczo
Zaczerpnąwszy mądrość szkolną,
Już wam pieśni moc ożywczą
Sponiewierać teraz wolno?

„Ja poważam także wiedzę
I oddaję cześć Minerwie,
Co mieszkając tuż o miedzę
Nigdy badań swych nie przerwie.

„Chcę, by Parnas żył z nią w zgodzie,
Korzystając z jej wyroku,
I w kwitnącym Muz ogrodzie
Wieczne prawdy miał na oku.

„Chcę, by kroczył w równej mierze
I otrząsał lutnie z pleśni,
Wszystkie życia prądy świeże
Odtwarzając w swojej pieśni.

„Jednak moje wdzięczne państwo
Cel i zakres ma odrębny,
I nie może pójść w poddaństwo
Guwernantki tej bezzębnej,

„Która siostry mej Minerwy
Przedrzeźniając obyczaje,
Wciąż roztrząsa: czyli pierwej
Było kurczę, czy też jaje?

„I nie mogą struny lutni,
Drżące szmerem pocałunków,
Do uczonych schodzić kłótni,
Powstawaniem brzmieć gatunków.

„Tej krainy śpiewnych marzeń
Nietykalną jest potęga,
I wśród wszystkich przeobrażeń
W ideału sferę sięga.

„Gdyż królewska pieśni władza,
Wieczne swoje panowanie
Na uczuciach tych zasadza,
Co nie mogą uledz zmianie.

„Idealnych snów przędziwo
Wiecznie snuje dla człowieka,
Serc tęskniących walkę żywą,
W strój piękności przyobleka.

„Piękność, pierwszem dla niej prawem,
Główną gwiazdą na błękicie:
Piękność tylko swym objawem
Nieśmiertelne da jej życie!

„Więc chcąc sądzić w państwie sztuki
O fałszywej piewców nucie,
Prócz rozsądku, prócz nauki,
Trzeba piękna mieć poczucie.

„Komu takiej braknie miary,
Ten się światu nie przysłuży,
Gdy poezyi słodkie czary
I fantazyi gmachy zburzy.

„Wyście przyszli, jak szkodnicy,
Biorąc sobie za rzemiosło,
Deptać wszystko bez różnicy,
Co w ogrodzie mym wyrosło.

„Muszę skarać taki zamach...
I tej hordzie, która wrzeszczy
W mej świątyni stojąc bramach,
Nowy rodzaj stworzę wieszczy."

To wyrzekłszy, bożek wkrótce
W napastników wybrał gronie,
Krzykliwego wziął dowódcę,
Wieńcząc laurem jego skronie.

Złotą lirę dał mu w ręce,
Tajemnicze wyrzekł słowo,
I rozkazał, by w piosence
Streścił światu mądrość nową.

Wnet Parnasu cały wzgórek
Stanął w niemem osłupieniu,
Słysząc romans dwóch komórek
W pacierzowym tkwiących rdzeniu.

Pieśń na nowe pchnięta tory,
Materyalną wziąwszy suknię,
Do mózgowej sięga kory,
Po nerwowym pędzi włóknie.

Serc pragnienia i zachwyty
I myśl każdą i uczynek,
Wyprowadza z walki skrytej
Wirujących wciąż drobinek.

W nieprzerwanym kreśli wątku
Organizmów epopeję,
Odtwarzając od początku
Protoplazmy pierwsze dzieje.

I w powszechnej bytu walce
Przez rodzajów zmiany skacze...
Aż w rozpaczy łamiąc palce
Upadają w proch słuchacze.

I błagają: „Wielki Febie!
Dość tej kary, dość tej męki,
My o litość prosim ciebie,
Ucisz dzikie lutni dźwięki.“

Lecz Apollo nieubłagan
Zapał wieszcza wciąż podsyca;
I pieśń huczy jak huragan,
Albo wyje jak wilczyca.

Śpiewa dalej mistrz uparty
Rozdzierając wszystkim uszy;
A tłum widząc, że nie żarty,
Pragnie strasznej ujść katuszy.

Napastników roty bitne
Na złamanie lecą karku,
Swe sztandary gubiąc szczytne
Uciekają z Muz folwarku;

Wszyscy chcą się w ziemię zapaść,
By ujść mściwej Feba dłoni:
Taki koniec wzięła napaść,
Ledwie przetrwa pamięć o niej.

Znowu Parnas lśni pogodą,
Znowu spokój w nim głęboki,
Tylko wieszcze dotąd wodą
Okładają swoje boki.

KWIATY I CHWASTY.

Są kwiaty tyle barwne i ponętne tyle,
Że ściągają do siebie pszczoły i motyle;
Stoją wśród zalotników skrzydlatego wieńca,
I nie mają obrony innej prócz rumieńca;
I źle im wróżą wszystkie doświadczone zioła,
Wiedząc, że słodycz lubi i motyl i pszczoła.

Są inne mniej powabne, lecz przezorne chwasty,
Co stoją najeżone, jak oset kolczasty.
I te przed napastników zuchwałą pogonią
Zabezpieczone, łatwo kolcami się bronią:
I dumne są z zwycięstwa, nic bowiem nie wiedzą,
Że je pomimo kolców wreszcie osły zjedzą.

POKORA POETÓW.

Niezwykle pokornego spotkałem poetę.
Wśród poufnej rozmowy przyszedł na myśl Goethe
I mówiliśmy o nim. Wtem poeta skromnie
Spuściwszy swoje oczy, odwraca się do mnie
I wręcz mnie zapytuje: Czy zgadniesz kolego,
W czem ja jestem właściwie wyższy od Goethego!
Jam zdrętwiał; a on widząc, że nie zgadnę skoro,
Rzecze: „Ja jestem wyższy od niego pokorą.“

UCZENI.

Gdy przybędzie do miasta obcy kruk uczony,
Wnet na niego miejscowe napadają wrony:
Dzióbią go bez litości, wyskubują pióra,
Próbując, czy grzbiet giętki i hartowna skóra?
Jeśli konieczną mędrcom cierpliwość posiada,
Wtedy go mądre wrony przyjmują do stada;
A do wielkiego bractwa, gdy się raz zapisze,
Wolno mu wraz z drugiemi dzióbać znów przybysze.

IRONIA.

Ironia dziwnem jest ziółkiem, co żyje
Łzami i bólem, a śmiechem zakwita:
Na gruzach szczęścia jako bluszcz się wije,
A w jego wieńcach ruina spowita;
Choć krwawe ślady w łonie swojem kryje,
Zawsze uśmiechem przechodzących wita,
I własną pustkę i smutek wyszydza
Przed okiem widza.

1874.

MARNOTRAWCOM.

Niech nikt sił własnych nadto nie przecenia,
Ani też nadto w swą szlachetność wierzy:
Trzeba się liczyć z czynem poświęcenia
I marnotrawić serca nie należy.
Kto dobrowolnie lepsze swe natchnienia
Wyda na pastwę przechodniów grabieży,
Temu zabraknąć może sił zasobu,
Aby z godnością dojść później do grobu.

W ALBUMIE.

Nie pytaj próżno o przyszłe losy,
Nie pytaj!
Lecz otwórz ducha pogodne oczy
Na wszystko piękne, co cię otoczy,
W promieniach słońca i w kroplach rosy
Zakwitaj!

Nie zdzieraj szczęścia urojeń wiotkich,
Nie zdzieraj!
Ani nie badaj nazbyt oględnie:
Czy ten kwiat wonny w ręku ci zwiędnie?
Lecz póki pora, z kielichów słodkich
Miód zbieraj!

Przechowuj w sercu szlachetną marę,
Przechowuj!
I żyj miłością swego narodu...
A w chwilach smutku, w chwilach zawodu,
O idealną oprzyj się wiarę
Jak powój

CICHE WZGÓRZE.

Znam ja jedno piękne wzgórze,
Na niem kwitną przy figurze
Przeźroczyste polne róże.

Boża męka pochylona
Patrzy z ciszą i spokojem,
W świat wyciąga swe ramiona
Ponad ziemskim krwawym znojem.

Jak tam słodko, jak tam błogo:
Nie dotknięte bólem, trwogą,
Serca w niebo płynąć mogą.

Tęsknych dumań nic nie zmąci,
Cichnie ludzkiej głos boleści:
Chyba wietrzyk listkiem trąci,
Lekko, śpiewnie zaszeleści.

Kiedy słońce z nieba schodzi
W swojej złotem tkanej łodzi,
W purpurowych fal powodzi,

To nad wzgórkiem twarz swą zniża,
Pożegnalnym blaskiem strzela,
I całuje stopy krzyża,
Święte stopy Zbawiciela.

Pod tym krzyżem w pierwszej wiośnie
Z polną różą, co tam rośnie,
Wyglądałem w świat radośnie.

Pod tym krzyżem w pierwszej wiośnie
Na mogile kwiaty rwałem;
Z tego wzgórza zagon własny
Raz na zawsze pożegnałem.

Więc choć lat już przeszło tyle,
Myślą wracam w dawne chwile
Siąść pod krzyżem na mogile.

Chcę usłyszeć znów o zmroku
Pieśń nabożną tego ludu,
Co się modląc ze łzą w oku
Oczekuje zawsze cudu...

NA GROBIE WINCENTEGO POLA.

Ciebie, ach, duchy zawiodły łaskawe
Do zdrojów przeszłej pokoleń wielkości,
I moc ci dały dawną wskrzesić sławę,
I ubrać w ciało rozsypane kości.

Na znak twój, przeszłość uśmiechnięta wstała,
I kipi życiem rycerskiej drużyny:
W bojowym szyku proporce rozwiała,
Znów na orężne gotując się czyny.

Znów chrzęszczą zbroje i hussarskie skrzydła,
I z wzdętą piersią arabskie rumaki
Rwą się do boju, pomimo wędzidła,
I przelatują jak huragan jaki!

Szlacheckie dworki wypełnione zgiełkiem,
Braterskie uczty, sejmiki i kłótnie,
Wszystko to miga tęczowem światełkiem,
Drży w tonach pieśni uroczo i smutnie.

Wszystko powstało i wszystko ożyło!
Bo śmierć jest kłamstwem, w które nikt nie wierzy:
Natchnione serca znajdą pod mogiłą
Gotowych w szranki powrócić rycerzy.

Tyś znalazł słowa zaklęć, co z błękitu
Zniknione mary na świat przywołały;
A więc stać będziesz kolumną granitu:
Pomnikiem polskiej i pieśni i chwały.

EGZOTYCZNE KWIATY.

Pod zwrotnikami rosną w lasach kwiaty,
Co przybierają wzory fantastyczne;
Strój ich niezwykły, wdzięczny i bogaty,
Cudowne barwy, wonie narkotyczne,
I nęcą zmysły ich korony świetne,
I te zapachy z pozoru szlachetne.

Każdy z nich postać rzadkiego motyla,
Lub przepych kształtów nieznanych roztoczy:
Z szczeliny drzewa w błękit się wychyla,
Wprawiając w zachwyt podróżnika oczy;
A jednak one soki swoje biorą
Z zgnilizny, w drzewach ukrytej pod korą.

Są i uczucia, szlachetne z pozorów,
Rozpromienione całą blasków tęczą,
Nadziemskiej miary, cudownych kolorów,
Jakby anioły, co w błękitach klęczą,
I rozsiewają idealne wonie,
W których wędrowiec sercem swojem tonie.

A jednak chociaż taki czar roznoszą,
Chociaż cel w sobie przedstawiają wzniosły
I nęcą ludzi nieznaną rozkoszą,
One na drzewie zbutwiałem wyrosły:
Z głębi tajnego powstały zepsucia,
Te fantastycznie błyszczące uczucia.

ALBUM PIEŚNI.

Pani Maryi z Branickich Tarnowskiej
w zamian za gałązkę z Kowieńskiej Doliny

poświęca

Autor.

PRELUDYUM.

Już niejeden obraz miły
Ciemne widma zasłoniły,
I niejeden ślad zatarły,
Ślad przeszłości obumarłej.

Łzy, uśmiechy, kwiatów wieńce,
Pragnień ognie i rumieńce,
Sny miłości, szczęścia, chwały,
Już się w drodze rozsypały
Pozostały za mną w tyle
Na rozdrożach lub mogile.

Lecz, choć wszystko pierzchło, znikło,
Serce kochać nie odwykło,
I młodzieńczych natchnień chwila
Jeszcze duszę wciąż zasila;
Jeszcze czystem światłem błyska
Przez mgły ciemne i zwaliska,
I w ten życia wieczór szary
Rzuca wspomnień cudne mary.

Wciąż młodości wiara żywa
Pozrywanych snów ogniwa
W idealny wieniec splata,
I wskazuje piękność świata.

Więc znów oczy mam zwrócone
Na jaśniejszą życia stronę:
Znów odczuwam to, co piękne,
Znów przed śpiewnym głosem mięknę,
I swych wspomnień mary blade
Znów z miłością na pierś kładę,
A gdy serce drży boleśniej,
To przerabiam łzy na pieśni.

NAJPIĘKNIEJSZE PIOSNKI.

Najpiękniejszych moich piosnek
Nauczyła mnie dzieweczka,
Mistrzem bowiem były dla mnie
Harmonijne jej usteczka.

Te usteczka brzmiały zawsze
Jakąś piosnką świeżą, nową,
Każdy uśmiech był melodyą,
Śpiewem było każde słowo.

Wszystko, o czem serce śniło,
Wszystko, o czem nawet nie śni,
Odbijało się w jej oczach
I płynęło w słodkiej pieśni.

Więc mnie zawsze przy jej boku,
Wpatrzonego w jej oblicze,
Kołysały śpiewne mary
Czarodziejskich brzmień słodycze.

Czegom uchem nie dosłyszał,
Czegom wzrokiem nie doczytał,
Tom z usteczek koralowych
Sam ustami swemi chwytał.

1874.

W ZIMOWEJ NOCY.

Idzie z piosenką na ustach
Przez śniegu zaspy zimowe,
I nie wie, gdzie mu wypadnie
Na nocleg położyć głowę.

Choć noc już ziemię pokrywa,
A wszędzie pustka wokoło,
On w swej samotnej wędrówce
Bez trwogi idzie wesoło.

Patrzy na pola zmrożone,
Na cieniem pokryte drzewa,
I nie przerywa piosneczek,
Lecz dalej tak sobie śpiewa:

„Tyś mi nie straszną, o nocy!
Chociażeś mroki rozsiała
Tak gęste, jakbyś na zawsze
Nad światem panować miała.

„Bo wiem, że musisz niedługo
Przed słońcem uciec w otchłanie,
A dla tych, co się obudzą,
Zabłyśnie nowe świtanie.

„Ty mi nie zmrozisz, o zimo!
Serdecznych moich nadziei,
Choć ziemię pokrywasz martwą
Całunem śnieżnej zawiei.

„Pomimo groźnej twej władzy,
Nie mogę zwątpić, że z wiosną,
Jeżeli nie mnie, to innym
Znów świeże kwiaty wyrosną.

„Ty mnie nie zwiedziesz tak łatwo
Pozornym chłodem, o miła!
Choć mnie odpychasz za życia...
Choćbyś mnie wzgardą zabiła.

„Bo wiem, że prędzej, czy później,
Chwile niechęci przeminą:
Po śmierci kochać mnie będziesz,
Moja ty piękna dziewczyno!

„Wy także, ludzie, przedemną
Próżno uczucia kryjecie...
Nie dam się złudzić pozorom,
Że serc zabrakło na świecie.

„Jak tylko tchnienia cieplejsze
Czar dawnych uniesień wskrzeszą,
Po śmierci kochać mnie będziesz,
Ty chłodna, milcząca rzeszo!“

ROZŁĄCZENIE.

Ujrzał ją znowu po latach
Z krzyżykiem w ręce...
Jak spała cicho na kwiatach
Po życia skończonej męce;
Ujrzał, gdy każde swe słowo,
Każde spojrzenie łaskawsze,
Uniosła w ciemność grobową
Na zawsze.

Jak obcy przyszedł tu do niej
W dzikiej rozpaczy,
Wiedząc, że główki nie skłoni,
Nie wstanie i nie przebaczy;
Więc boleść piersi mu targa,
I stoi blady, jak chusta,
I straszna tłoczy się skarga
Przez jego usta;

I mówi: „Już leżysz w trumnie,
Nic cię nie wzruszy:
Nie spojrzysz litośnie ku mnie,
Nie zdejmiesz ciężaru z duszy.
Nikt losów moich nie zmieni,
I klątwy nikt nie odwoła,
Nie sięgnie w morze płomieni
Ręka anioła.

„Nie dojdzie do twego ucha
Moje wołanie:
Przestrzeń przegradza nas głucha,
Wieczyste, ciężkie rozstanie.
Na zawsze pomiędzy nami
Ciemna się przepaść rozwarła...
Mnie czoło występek plami,
A tyś umarła!

„Dla innych nadzieją błyska
Grobowca łono,
Bo wiedzą, że duch odzyska
Miłość na ziemi straconą;
Dla innych rozstania chwile
Szybko uniesie czas rączy,
I znów kochanków w mogile
Wieczność połączy.

„Lecz mnie zgon również jak życie
Od ciebie dzieli:
Obcą mi będziesz w błękicie,
Jak tu na zmarłych pościeli.
Przedział otworzy daleki
Ta śmierć, co innych przybliża...
Bo nas rozdziela na wieki
Znak krzyża!“

ŁABĘDZI ŚPIEW.

Łabędzi słyszałem śpiew.
Było to letnim wieczorem:
Przy bladem świetle miesiąca,
W pośrodku płaczących drzew,
Ponad przejrzystem jeziorem,
Stała wybladła i drżąca,
Łabędzi zawodząc śpiew.

Na cichej powierzchni fal
Łabędzie pieśni słuchały,
Myśląc, że jeden z ich grona
Przedśmiertny wylewa żal,
Gdyż ona, jak łabędź biały,
Co z pieśnią zraniony kona,
Śpiewała wśród cichych fal.

Dziś dla niej ostatni dzień,
W którym do śnieżnych słuchaczy

Swobodnie przemawiać może,
Wśród serca gwałtownych drżeń,
I głosem śpiewnej rozpaczy
Płynąć po modrem jeziorze,
Żegnając ostatni dzień.

Gdyż jutro wykopią grób
Dziewiczej życia piosence,
Pogrzebią sen ideału;
Jutro nastąpi jej ślub,
I zwiążą na zawsze ręce,
Bez serc żywszego udziału
W małżeński położą grób.

Niemiły weźmie ją mąż;
Tak każą względy rodowe,
I domu wysokie związki;
Te słowa słyszała wciąż...
Więc poddać musiała głowę
Pod cierń mirtowej gałązki,
Pod łańcuch, co włoży mąż.

I musi, rzucając dom,
Pójść za nim, jak niewolnica,
Po stracie wszystkich swych marzeń,
Ku ciemnym, nieznanym dniom,
Przywołać uśmiech na lica,
Gdy sama, pełna przerażeń,
Porzuca rodzinny dom.

I nie wie, jaki jej byt
Zgotuje ręka człowieka,
Którą ma ująć ze łzami;
Czy boleść, rozpacz, lub wstyd,
W ciemnej przyszłości ją czeka?
Czy białych skrzydeł nie splami
Ten nowy posępny byt?

I nie wie, na jaki ląd
Obca ją wola popędzi...
Wie tylko, że bez miłości,
Bez pociech odejdzie ztąd,
I już wśród białych łabędzi
Nie stanie w dawnej czystości,
Na obcy stąpiwszy ląd.

Więc bólem dobyty śpiew
Rzuca, w łabędzia postawie,
Tej rzeszy słuchaczy bratniej
Z pod wieńca płaczących drzew:
Ptaki słuchają ciekawie,
Bo wiedzą, że to ostatni,
Prawdziwy łabędzi śpiew!

1879.

UCISZ SIĘ SERCE!

Ucisz się serce, swoich strat
Już nie opłakuj, stroskane;
Ale wschodzący pozdrów świat,
I jego jutrznie różane.

Błogosław nowym życia dniom,
Temu, co wschodzi i rośnie,
Świeżym nadziejom, świeżym snom,
Świeżej młodości i wiośnie.

Pozdrów pokoleń przyszły ród,
Ich myśli, pragnienia, cele,
Kwiat nowych uczuć, nowych cnót,
Na naszym wzrosły popiele.

Pozdrów kłos złoty nowych pól,
Nowych kochanków zachwyty,
Nowe tęsknoty, nowy ból,
I wiecznie nowe błękity.

Pozdrów tych wszystkich wiernych sług,
Co twardą pracą i znojem,
Płacą ludzkości święty dług,
O szczęściu nie myśląc swojem.

I tych, co będą światło nieść
Do chat, gdzie ciemni i głodni,
Co będą walczyć, aby zgnieść
Widziadło nędzy i zbrodni.

Witaj ich wszystkich w blasku zórz,
Który zaledwo widnieje,
W ich ręce swoją wiarę złóż,
Swą miłość i swą nadzieję.

Szczęście, za którem dzisiaj ty
Napróżno tęsknisz i czekasz,
I niezniszczone wszystkie sny,
Wszystkie pragnienia — im przekaż!

Wzleć ponad własnej drogi kres,
Z błogosławieństwem dla świata,
Co w pasmo błędów, walk i łez,
Szlachetne dążenia wplata.

A snuć się będzie złota nić,
Chociaż ty spoczniesz w mogile...
I będziesz nowem życiem żyć,
W młodzieńczej barwie i sile.

Wszędzie coś z swoich znajdziesz snów,
Z uczuć straconych i rojeń,
I z kochankami będziesz znów
Pić słodycz świeżych upojeń;

Będziesz, gdzie ludzkiej myśli zdrój
W niepowstrzymanym rwie biegu...
Gdzie się rozstrzyga duchów bój,
W walczących staniesz szeregu;

Gdzie płynie skargi rzewny głos,
Tam będziesz; i będziesz z temi,
Co chcą polepszyć ludzki los,
I przynieść szczęście tej ziemi.

I do wieśniaczych zstąpisz chat
Uczucia budzić nieznane...
Więc nie opłakuj swoich strat,
Pociesz się serce stroskane!

DLACZEGO WICHER TAK WYJE?

Dlaczego wicher tak wyje
I z jękiem leci ku niebu?
Czy skargi roznosi czyje?...
Czy pieśń zawodzi pogrzebu?

Różne są nędze na ziemi:
Są jedne, co litość budzą,
I ma kto płakać nad niemi
I boleść utulić cudzą.

Są inne jakby przeklęte
Od świata, ludzi i Boga...
Gdzie serca rozpaczą wzdęte
Otacza pustka złowroga.

Nikt się nad niemi nie żali...
Obca im wszelka pociecha...
I przepadają gdzieś w dali
Samotnie, bez łzy, bez echa.

Tylko wiatr niesie ku niebu
Brzemienne klątwą rozpacze,
I wyje pieśni pogrzebu,
W ciemnościach jęczy i płacze.

MGŁAWICE.

Rozsiane w światów przestrzeni,
Kosmiczne spływają mgły,
W smugi przejrzystych pierścieni,
W obłoczek wiążą się mdły.

Pośród gwiaździstych łabędzi,
Gwiaździstych węży i lir,
Moc wieczna w przyszłość je pędzi,
W powszechny wprowadza wir.

Świetlanym zwojem się wznosi
Tych nikłych cząsteczek rój.
Szukają wspólnej swej osi,
By obrót rozpocząć swój.

I tak się męczą i chwieją
I lotny skupiają pył,
By zbić się z czasów koleją,
W szeregi ognistych brył.

Przez długie męczą się wieki,
Chcąc zdobyć wewnętrzny ład:
Dzień jeszcze bardzo daleki,
Gdy nowy z nich wyjdzie świat.

Lecz będą kolebką jasną
Nowych żywotów i sił,
Gdy nasze słońca pogasną,
W kosmiczny zetrą się pył.

*

W ludzkiego ducha przestworzach,
Podobnie wiąże się mgła,
Rzucona w odległych zorzach,
Na niebios błękitne tła.

Mgły marzeń płyną po niebie,
Do nikłych podobne smug,
Szukają kształtów dla siebie,
Szukają dla siebie dróg.

Chcą tkankę swoją pajęczą
W ciał szereg promienny zbić:
Chwieją się, ważą i męczą,
By mogły w przyszłości żyć.

Przez wieki cienie tych mgławic
Skupiają cząsteczki swe,
I czasem światłem błyskawic
Zgęszczoną oświecą mgłę.

Przez wieki krążą tak marnie,
Czekając na przyszły świt,
Który za wszystkie męczarnie,
Słoneczny nada im byt.

I przyjdzie czas ten, gdy one,
Po długim upływie lat,
Zastąpią dawne, zburzone,
I nowy utworzą świat.

1879.

DAREMNE ŻALE.

Daremne żale, próżny trud,
Bezsilne złorzeczenia!
Przeżytych kształtów żaden cud
Nie wróci do istnienia.

Świat wam nie odda, idąc wstecz,
Zniknionych mar szeregu;
Nie zdoła ogień ani miecz
Powstrzymać myśli w biegu.

Trzeba z żywymi naprzód iść,
Po życie sięgać nowe,
A nie w uwiędłych laurów liść
Z uporem stroić głowę.

Wy nie cofniecie życia fal!
Nic skargi nie pomogą:
Bezsilne gniewy, próżny żal!
Świat pójdzie swoją drogą.

ZACZAROWANA KRÓLEWNA.

Zaczarowana królewna
W mirtowym lasku drzemie;
U nóg jej lutnia śpiewna
Zsunęła się na ziemię.

Niedokończona piosneczka
Uśmiechem lśni na twarzy;
Drżą jeszcze jej usteczka,
O czemś rozkosznem marzy.

Marzy o jednym z rycerzy,
Że idąc przez odmęty,
Do stóp jej tu przybieży,
I przerwie sen zaklęty.

Lecz rycerz, co walczył dla niej,
Ten męstwo swe przeceniał,
Zabłąkał się w otchłani...
I zwątpił... i skamieniał.

1874.

ZA MOICH MŁODYCH LAT.

Za moich młodych lat
Piękniejszym bywał świat,
Jaśniejszym wiosny dzień!
Dziś niema takiej wiosny,
Posępny i żałosny
Pokrywa ziemię cień.

Za moich młodych lat
Wonny miłości kwiat
Perłowym blaskiem lśnił;
Dziś blaski te i wonie,
Napróżno sercem gonię:
Czarny je obłok skrył.

1874.

BÓL ZASNĄŁ.

Ból zasnął we mnie już zcicha,
Jak dziecię krzykiem zmęczone;
Łzy na dno duszy kielicha
Spływają niepostrzeżone.

Wszystkie żywota gorycze
Zamknąłem w sercu, jak w grobie:
Niech drzemią w niem tajemnicze,
Nie mówiąc światu o sobie.

Lecz jeszcze męczarnia cudza
Łzę wydobywa z pod powiek:
Do gorzkiej myśli pobudza
Przybity rozpaczą człowiek.

Jęk, który w ciemnościach słyszę,
Paląca nędzarzów skarga,
Jeszcze przerywa mi ciszę
I żalem pierś moją targa.

A nie tych żal mi najbardziej,
Co cierpią niezasłużenie:
Ci, jako rycerze twardzi,
Znieść mogą każde cierpienie;

Ci, chociaż los ich przygniata,
Chociaż nieszczęścia dłoń kruszy,
Mają współczucie od świata
I spokój własnej swej duszy.

Lecz żal mi tych, którym cięży
Poczucie spełnionej winy,
Co w sercu noszą kłąb węży
I cierpią z własnej przyczyny.

Takiej boleści posępnej
Najsilniej wstrząsa mną echo:
Gdyż w mrok ich duszy występnej
Nie można zstąpić z pociechą.

1879.

JESTŻE TO PRAWDĄ?

Jestże to prawdą? że nad mą kołyską
Dzieckiem niebiańskie widziałem zjawisko,
Anioła, który schylony nademną
Zwolna mi z duszy noc odganiał ciemną,
I rozpostarłszy blasków swych koronę,
Miłością poił serce przebudzone,
A chociaż skrzydła otwierał do lotu,
Słodką nadzieją żegnał mnie powrotu.

Jestże to prawdą? że zniknął przedwcześnie
Zaledwie sercem przeczuwany we śnie,
I że już odtąd napróżno na ziemi
Za jego ślady goniłem jasnemi;
Aż zbłąkanemu nad ciemne otchłanie
Coraz mniej dawne jaśniało świtanie,
I w duszy cudne zatarły się lica,
I ta powrotu słodka obietnica.

Jestże to prawdą? że mi teraz znowu
Wolno zawierzyć anielskiemu słowu,
I śnić, że dusza stęskniona przywoła
Wracającego z błękitów anioła...
Jestże to prawdą? że mi teraz dano
Powitać widzeń jutrzenkę różaną,
I pod jej skrzydeł opiekuńczych dwoje,
Znowu w opiekę oddać serce swoje.

BARKAROLA.

Noc taka jasna!
Gwiazdami płonie,
Światłem okala
Przejrzyste tonie.

Noc taka jasna,
Jasna i cicha!
Zaledwie fala
Szemrze i wzdycha.

Łódka, jak ptaszę,
Po wodzie z lekka
Wzlatuje z nami,
I w dal ucieka.

A serca nasze
Pełne zachwytów,
Wybiegły łzami
W morze błękitów.

W świateł powodzi
W niebo się wznoszą,
Miłością drżące,
Senne rozkoszą.

Płyń więc, o łodzi,
Choćby na wieki,
Przez wody śpiące,
W obszar daleki...

A gdzieś w przestrzeni
Zginiem w oddali,
W półcieniach jasnych
Na srebrnej fali.

A roztopieni
W cichym błękicie,
Tylko serc własnych
Usłyszym bicie.

NA POCZĄTKU.

Na początku nic nie było,
Tylko przestrzeń ciemna, pusta;
W tem jej czarne błysły oczy
I różowe, świeże usta.

Od jej spojrzeń, od rumieńca,
Zajaśniała świateł zorza,
A gdy pierwsze rzekła słowo,
Ziemia wyszła z głębi morza.

Gdy przebiegła ziemię wzrokiem,
Śląc jej uśmiech, rój skrzydlaty
Wzleciał ptaków i motyli,
A z pod ziemi wyszły kwiaty.

Lecz nie istniał jeszcze człowiek,
Tylko martwa gliny bryła;
Aż nareszcie swym płomiennym
Pocałunkiem — mnie stworzyła.

I zbudziłem się do życia
W cudowności jasnym kraju,
Lecz mnie również tak, jak innych,
Wypędzono z tego raju.

SZCZĘŚLIWA MŁODOŚĆ.

Szczęśliwa młodość!... nawet smutki
Zaprawne ma rozkoszą;
Dzień szczęścia długi, żalu krótki;
Łzy ulgę jej przynoszą.

Szczęśliwa młodość!... swe boleści
W słowiczym odda śpiewie,
I echem własnych skarg się pieści,
I o swem szczęściu nie wie!

1879.

MIŁOŚĆ JAK SŁOŃCE.

Miłość, jak słońce, ogrzewa świat cały
I swoim blaskiem ożywia różanym;
W głębiach przepaści, w rozpadlinach skały
Dozwala kwiatkom zakwitnąć wiośnianym
I wyprowadza z martwych głazów łona,
Coraz to nowe na przyszłość nasiona.

Miłość, jak słońce, barwy uroczemi
Wszystko dokoła cudownie powleka:
Żywe piękności wydobywa z ziemi,
Z serca natury i z serca człowieka,
I szary, mglisty widnokrąg istnienia
W przędzę z purpury i złota zamienia.

Miłość, jak słońce, wywołuje burze,
Które grom niosą w ciemnościach spowity,
I tęczę pieśni wiesza na łez chmurze,
Gdy rozpłakana wzlatuje w błękity,
I znów z obłoków wyziera pogodnie,
Gdy burza we łzach zgasi swe pochodnie.

Miłość, jak słońce, choć zajdzie w pomroce,
Jeszcze z blaskami srebrnego miesiąca
Powraca smutne rozpromieniać noce
I przez ciemności przedziera się drżąca,
Pełna tęsknoty cichej i żałoby,
By wieńczyć śpiące ruiny i groby.

1877.

W WIECZNY CIEŃ.

Spadła śmierci już zasłona
Na żywota grzeszny dzień,
Idzie dusza potępiona
W wieczny cień.

Idzie w ciemność tak leniwo,
Na rzucony patrząc świat,
Gdzie występków smutne żniwo
I zbrodniczy został ślad.

Widzi każdą myśl swą czarną,
Jak jej zniszczyć nie mógł zgon,
I szkodliwe widzi ziarno,
Jak obfity daje plon.

Złe na gorsze się przemienia,
Błędy ojca bierze syn:
I z pokoleń w pokolenia
Spada ciężar dawnych win.

Więc przeklęte widząc koła
I występku tajną moc:
O zatratę własną woła,
O nicestwa głuchą noc.

I przez ognia idąc rzeki
Straszną rozpacz niesie w dal:
Chce się ukryć gdzieś na wieki
W płomienistych głębi fal.

Chce, by płomień wyżarł z łona
Nieśmiertelny bytu rdzeń...
Idzie dusza potępiona
W wieczny cień!

NIEŚMIERTELNI.

Przez mgły czasu, w otchłań wieków
Zaglądając, widać w dali
Pośród mętnych plemion ścieków,
Wśród burzliwej ludów fali,
Nieśmiertelnych, co przetrwali
Długą kolej pierzchłych wieków.

W próchnie ziemi, w dziejów pyle,
Rozjaśnione twarze świecą;
Ku nieznanej ich mogile
Duchy nowych mężów lecą,
By wyprosić światła nieco
Na jutrzejszą świtań chwilę.

Na świeczniku z trupich kości,
Niezgryzieni pleśnią rdzawą,
Stoją żywcem wśród ciemności
Nad przebrzmiałą życia wrzawą,
I płomieniem swym jaskrawo
Oświecają twarz ludzkości.

Każdy w swego wieku łonie
Całą jego myśl zawiera:
Ster przyszłości biorąc w dłonie,
Nową jutrznię rozpościera,
A zaczęta przezeń era
Nieśmiertelne wieńczy skronie.

PANIENECZKA.

Panieneczka, panieneczka,
Czesze złoty włos,
Śpiewną piosnką brzmią usteczka,
Nuci sobie w głos:

Białe lilie cicho drzemią
Otulone w cień,
Kołysane ponad ziemią
Falą chłodnych tchnień.

Noc zamyka im kielichy,
Strzegąc czystych szat,
W niewinności pozór cichy
Stroi biały kwiat;

I powiada: Śpijcie w cieniu!
Śpijcie, póki czas!
Gdy zaświta, w swym płomieniu
Słońce spali was.

Nie wzdychajcie ach przedwcześnie
Do skwarnego dnia:
Wymarzone szczęście we śnie
Krótko potem trwa.

Ale lilie, choć stulone,
Nocny piją chłód,
Już w słoneczną patrzą stronę
Na różowy wschód.

Oczekują tęsknie chwili,
Gdy z pieszczotą już
Biały kielich im odchyli
Blask promiennych zórz.

I daremnie noc na straży
Swych udziela rad:
O miłości dziewczę marzy,
A o słońcu kwiat.

GDY OSTATNIA RÓŻA ZWIĘDŁA.

Gdy ostatnia róża zwiędła,
Rzekłam chłopcu: „Idź"!
Zerwała się złota nić,
Którą miłość przędła.

Poskoczyłam jak najprędzej
Świeży wątek wziąść,
Chciałam złotą nitkę prząść,
Lecz zabrakło przędzy.

Zakwitnęły róże znowu,
Nić się nie chce snuć;
Próżno wołam: „Luby, wróć!"
On nie wierzy słowu.

KOPCIUSZEK.

W gniewie zaklęła ją wróżka:
I odtąd biedna królewna
Przybrała smutną postać kopciuszka,
W lichej odzieży
Na rozkaz bieży,
I nosi wodę i drewna.

Napróżno w jej czystem łonie
Skarbów zawiera się mnóstwo,
I w niewidzialnej próżno koronie
Jej piękność świeci,
Gdyż ziemskie dzieci
Dojrzały tylko ubóstwo.

Nieraz w jej państwie zaklętem
Rycerski stanął królewic,
Lecz na jej odzież spojrzał ze wstrętem,
I poszedł dalej,
I z złotej sali
Wziął jednę z poślednich dziewic.

ASTRY.

Znowu więdną wszystkie zioła,
Tylko srebrne astry kwitną,
Zapatrzone w chłodnych niebios
Toń błękitną.

Jakże smutna teraz jesień,
Ach, smutniejsza niż przed laty,
Choć tak samo żółkną liście,
Więdną kwiaty.

I tak samo noc miesięczna
Sieje jasność, smutek, ciszę,
I tak samo drzew wierzchołki
Wiatr kołysze.

Ale teraz braknie sercu
Tych upojeń i uniesień,
Co swym czarem ożywiały
Smutną jesień.

Dawniej miała noc jesienna
Dźwięk rozkoszy w swoim hymnie,
Bo anielska, czysta postać
Stała przy mnie.

Przypominam jeszcze teraz
Bladej twarzy alabastry,
Krucze włosy, a we włosach
Srebrne astry.

Widzę jeszcze ciemne oczy
I pieszczotę w ich spojrzeniu:
Widzę wszystko w księżycowem
Oświetleniu.

TYM, KTÓRZY SMUTNI.

Tym, którzy smutni, tym, którzy zgnębieni
W milczeniu tylko i cierpią i giną,
Tym dla serc trzeba jaśniejszych promieni
Nad idealną świecących krainą.

Im zimne słowa mędrców nie wystarczą,
I praw koniecznych bezwzględna powaga
Nie będzie dla nich osłoną ni tarczą,
Gdy serce gwałtem szczęścia się domaga.

Trzeba im pociech, których nie da życie,
Trzeba anielskich uśmiechów w błękicie,
Trzeba litosnej nad światem opieki,
Trzeba miłości wiecznej, choć dalekiej.

DAŁAM CI MOC.

Dałam ci moc nad sercem ludzi,
Moc, której próżno przeczą,
Gdyż ona łzy i zachwyt budzi,
Wstrząsając pierś człowieczą.

Piękności czar, ten nie przeminie,
On wieczną jest potrzebą;
I ludzki duch wciąż za nim płynie,
W błękitne patrząc niebo.

Piękności czar, ten zawsze będzie
Nad światem dzierżyć władzę,
I swoją woń rozsiewa wszędzie
Kwiat każdy, co zasadzę.

Niechaj więc chłód i cisza głucha
Wśród świata cię nie ziębi:
Najlepszy siew twojego ducha
W serc cichej wejdzie głębi.

Tych śpiewnych brzmień, co ja poruszę,
Niepamięć nie pogrzebie;
Lecz choćbyś dał swą całą duszę,
Nie żądaj nic dla siebie.

Nie żądaj nic od biednej rzeszy,
Zmęczonej życia znojem;
Ty rzucaj blask, co ją pocieszy,
I sercem nakarm swojem.

Idź sobie w grób, nieznany światu,
Bez żądzy sławy próżnej,
Bez wieńców róż, bez mirtów kwiatu,
Bez bratnich łez jałmużny.

Ziszczenia snów, owoców trudu,
Nie pragnij tu oglądać:
Dałam ci moc nad sercem ludu.
Nie możesz więcej żądać!

1879.

DZIEJE PIOSENKI.

Narodziła się w duszy poety
W łez mroku,
Wywołana miłością kobiety,
Jako tęcza na marzeń obłoku;
Śpiewnych dźwięków odziana sukienką,
Drgnieniem serca dobyta z nicości,
Przyszła na świat naiwną piosenką
Miłości.

Upajała melodyjnem tchnieniem
Pierś młodą,
I nad starców rozwianem marzeniem,
Słodkich wspomnień jaśniała pogodą;
Wzgórza brzmiały jej rozkosznem echem,
Przedrzeźniali ją Faunowie leśni,
Płoche Nimfy wtórzyły z uśmiechem
Tej pieśni.

Przeszły wieki świeżości młodzieńczej
I krasy:
Nikt się teraz różami nie wieńczy,
Wchodząc z troską codzienną w zapasy;
Nie słuchają już Nimfy na łące
I nie wtórzą piosnkom w wieczór letni;
Zagłuszyły dziś burze huczące
Głos fletni.

Jednak pieśń ta, starodawna, grecka,
Wciąż wraca!
Nieśmiertelnym swym uśmiechem dziecka
Chmurne niebo nad ziemią wyzłaca,
Wraca z każdą serc i wieków wiosną,
Pełna dziwnej, niespożytej siły
I roztacza w koło woń miłosną
Z mogiły.

1878.

NIE MÓW.

Nie mów, chociażbyś miał ginąć z pragnienia,
Że wszystkie źródła wyschły już bijące:
Tyś gonił pustyń piaszczystych złudzenia,
A minął strumień na zielonej łące.

Nie mów, chociażbyś umierał z tęsknoty,
Że niema czystej miłości na ziemi:
Tyś pewnie w drodze blask jej rzucił złoty,
Za ognikami zdążając błędnemi.

Nie mów, że wszystko, czegoś ty nie umiał
Odnaleźć w życiu, marą jest zwodniczą!
Zdrój czystych uciech będzie innym szumiał
I inne serce poił swą słodyczą.

W TATRACH.

MIECZYSŁAWSTWU PAWLIKOWSKIM,

na pamiątkę chwil wspólnie spędzonych w Zakopanem

z wyrazem przyjaźni.

WSTĘP.

O matko ziemio, dobra karmicielko!
Żywisz nas hojnie przy swej piersi mlecznej
Niebieskiej rosy ożywczą kropelką,
I promieniami jasności słonecznej,
Które przerabiasz na chleb, co się mnoży
Codziennym cudem wiecznej myśli bożej.

O matko ziemio! Ty nam dając ciało,
Zbudzoną duszę karmisz na swem łonie;
Dajesz jej poznać świata piękność całą,
Oprowadzając przez błękitne tonie,
I po gwiaździstym unosisz przestworze
Codzień poranku odnawiając zorze.

Roztaczasz przed nią kształtów nieskończoność,
I coraz nowe przesuwasz obrazy;
Stroisz się w błękit morza, w łąk zieloność,
W błyszczące piaski, w niebotyczne głazy;
Rozwijasz widzeń tęczę malowniczą
I świeżych wrażeń napawasz słodyczą.

Ty ją przenikasz barw i dźwięków falą,
Przez zmysły drogę otwierając do niej;
Rzucasz w nią ognie, co się wiecznie palą
W obłoku marzeń i kwiecistej woni;
Podajesz przędzę, którą ona bierze,
Snując z niej dalej pasma uczuć świeże.

Ty jej swe wszystkie skarby zgromadzone
Rzucasz na pastwę z rozrzutnością matki;
Pozwalasz zdzierać z twarzy swej zasłonę,
I coraz nowe zadajesz zagadki,
Kryjąc w swej dłoni, jako lzys czarna,
Kwiaty lotusów i pszeniczne ziarna.

Dobra piastunko! Trzymasz nas tak mocno
Na swojej piersi, co się ciągle chwieje;
Sny cudowności zsyłasz porą nocną,
A we dnie własne opowiadasz dzieje,
Nawet prostaczkom dając mądrość wielką,
Dobra piastunko i nauczycielko!

My się nie możem oderwać od ciebie,
Ciężarem ciała z ciałem twem spojeni,
I chociaż myślą wzlatujem po niebie,
Sny zaświatowe ścigając w przestrzeni,
Musimy zawsze czuć pod nogą swoją
Ten grunt, na którym kształty nasze stoją.

Musimy z tobą w zgodzie żyć: inaczej
Duch się obłąka w mgle urojeń ciemnej,
W złudnych zachwytach, w bezpłodnej rozpaczy,
W sennem omdleniu, lub walce daremnej,
I poza światem pędzi żywot chory,
Nie mając twardej dla siebie podpory.

Musim żyć z tobą w zgodzie: do mogiły,
Chociaż cel wyższy stawiamy przed oczy:
Pragnąc zaczerpnąć świeży zasób siły,
Każdy z nas musi w walce, którą toczy,
Tak, jak Anteusz, dotykać się ziemi,
Bośmy, o matko, wszyscy dziećmi twemi.

Na twoich błoniach wschodzimy, jak kwiaty,
A ty stosowne nam wyznaczasz grządki:
Każdy dla siebie znajdzie grunt bogaty,
Swych poprzedników prochy i pamiątki,
I każdy tylko na swej własnej niwie
Może zakwitać silnie i szczęśliwie.

Tam tylko znajdzie odpowiednie soki,
Właściwy zakres i warunki bytu,
Skwarny blask słońca, albo cień głęboki,
Modrą toń jezior, lub krawędź granitu:
Tam kształt i barwę właściwą przybiera,
Na czas dojrzewa i na czas zamiera.

Zna się z burzami swej ojczystej strony,
I z tchnieniem wiosny, która go upieści,
I od początku idzie uzbrojony
Na rozkosz życia i jego boleści:
Więc nic dziwnego, że nad wszystkie inne
Musi ukochać zagony rodzinne.

To przywiązanie, które ludzie prości
Czerpią z cichego z naturą przymierza,
Stwarza ojczyznę, jako cel miłości,
I coraz więcej zakres swój rozszerza,
Aż cały krąg twój obejmie, o ziemio!
Razem z zmarłemi, co w grobowcach drzemią.

A kto ukochał ciebie sercem swojem,
I w twe objęcia chyli się z tęsknotą,
Tego pogodnym obdarzasz spokojem,
Spojrzeniem matki i matki pieszczotą:
W zaczarowane znów wprowadzasz koło,
Wracając młodość jasną i wesołą.

Chociaż do ciebie przybędzie złamany,
Uchodząc losów ciężkiego rozbicia,
Ty dobrotliwa zagoisz mu rany,
I spędzisz z duszy palący ból życia,
I cierpiącego pojednasz człowieka
Z tem, co już przeżył, i z tem, co go czeka.

I wszystkim, którzy do ciebie się garną,
Pozwalasz zebrać odpowiednie żniwo;
Młodzieńcom dajesz serca moc ofiarną,
A starcom dajesz wytrwałość cierpliwą,
Zadowolenie, co twarz krasi bladą,
I uśmiech, z jakim do grobu się kładą.

Bo ty, o matko, masz dla swoich dzieci
Zawsze miłością promienne oblicze,
I twój wzrok jasny, co nam w życiu świeci,
Jeszcze rozwidnia mroki tajemnicze,
Kiedy zamykasz miłosierne łono
Nad garścią prochów, prochom powróconą.

RANEK W GÓRACH.

Wyzłocone słońcem szczyty
Już różowo w górze płoną,
I pogodnie lśnią błękity
Nad pogiętych skał koroną.

W dole, lasy, skryte w cieniu,
Toną jeszcze w mgle perłowej,
Co w porannem oświetleniu
Mknie się zwolna przez parowy.

Lecz już wietrzyk mgłę rozpędza,
I ta rwie się w chmurek stada:
Jak pajęcza, wiotka przędza,
Na krawędziach skał osiada.

A z pod sinej tej zasłony
Świat przegląda coraz szerzej,
Z nocnych, cichych snów zbudzony,
Taki jasny, wonny, świeży.

Wszystko srebrzy się dokoła
Pod perlistą, bujną rosą;
Świerki, trawy, mchy i zioła
Balsamiczny zapach niosą.

A blask spływa wciąż gorętszy,
Coraz głębiej oko tonie;
Cudowności świat się piętrzy
W wyzłoconej swej koronie.

Góry wyszły, jak z kąpieli,
I swem łonem świecą czystem,
W granitowej świecą bieli,
W tem powietrzu przeźroczystem.

Każdy zakręt, każdy załom
Wyskakuje żywy, dumny:
Słońce dało życie skałom,
Rzeźbiąc światłem ich kolumny.

Wszystko skrzy się, wszystko mieni,
Wszystko w oczach przeistacza:
Gra przelotnych barw i cieni
Coraz szerszy krąg zatacza.

Już zdrój srebrną pianą bryzga,
Gdy po ostrych głazach warczy;
Już się żywszy odblask ślizga
Po jeziorek sinej tarczy.

Już pokraśniał rąbek lasu,
Już się wdzięczy i uśmiecha
Brzeg doliny, a z szałasu
Dolatują śpiewne echa.

Przez zielone łąk kobierce
Dzwoniąc, idą paść się trzody...
Jakaś rozkosz spływa w serce,
Powiew szczęścia i swobody.

Pierś się wznosi, pierś się wzdyma,
I powietrze chciwie chwyta;
Dusza wybiedz chce oczyma,
Upojona, a nie syta;

Niby lecieć chce skrzydlata,
Obudzona, jak z zaklęcia,
I tę całą piękność świata
Chce uchwycić w swe objęcia.

KOŚCIELISKA.

Oto tatrzańska sielanka
Łagodną wabi ponętą,
Jak dziewczę, co uśmiechniętą
Twarzyczką wita kochanka.
Przez skał rozdartych podwoje
Przegląda wąwozu łono,
Gdzie szumią srebrzyste zdroje
Melodyę głazom nuconą;
Przez skał rozdartych podwoje
Świerk zwiesza konary swoje,
I słońca blask się przeciska:
To Kościeliska!

Zielona skacze dolina
Przez strumień z brzegu do brzegu,
Gdzie potok wstrzyma ją w biegu
Na góry łączką się wspina,
I postać przybiera sielską
Strojąc się w trawę i zielsko,

I kwiaty do swego wianka
Wplatając ręką niedbałą...
A dołem skryta pod skałą,
Z marmurowego wciąż dzbanka,
Czysta Najada swe fale
W przejrzystym sączy krysztale,
I strąca potok z urwiska:
To Kościeliska!

Pionowo sterczące skały
Igłami świerków się jeżą,
W ciemną się zieleń ubrały,
Lecz w balsamiczną i świeżą,
Z której gdzieniegdzie szczyt biały
Kamienną wytryśnie wieżą,
Lub nagie wapienia ostrze
Szeroko pierś swą rozpostrze.
Za każdym drogi zakrętem
Cały krajobraz się zmienia:
Jakby w królestwie zaklętem
W głaz zamienione marzenia,
Dziwaczne fantazyi gmachy
Z wejrzeniem coraz to nowem,
Wiszące ściany i dachy,
Tłoczą się ponad parowem,
Lub uciekają w lazury
Ręką marzącej natury
Wypchnięte z ziemi ogniska:
To Kościeliska!

Srebrzyste wstęgi katarakt,
Oprawne w zielony szmaragd
Mchów rozesłanych na skałach
I drobnolistnych paproci;
W powietrzu pełno wilgoci
I chłód rzeźwiący w upałach;
Zwalone kłody i mosty,
Łomy strącone z wierzchołków,
Rdzawe na głazach porosty,
Co woń roznoszą fiołków,
Żywiczne świerków oddechy,
Błękitnych niebios uśmiechy,
I spokój dla duszy słodki;
I zawieszone wysoko
Nad niedostępną opoką
Gwiaździste srebrne szarotki:
Wszystko się srebrzy lub złoci,
W kropelkach świeżej wilgoci
Tęczową barwą połyska:
To Kościeliska!

NOC POD WYSOKĄ.

Wieczór się zbliżał, a nad naszą głową,
Wciąż wyrastały prostopadłe ściany,
I wciąż się zdawał oddalać na nowo
Wierzchołek w słońca promieniach kąpany:
Więc trzeba było myśleć o noclegu,
Zanim nas zdradne ciemności zaskoczą
Na skał urwanych przepaścistym brzegu.

Właśnie się naszym ukazała oczom,
Wciśnięta między dwa ramiona góry,
Kotlina, pełna granitowych łomów,
Które z daleka sterczały, jak mury
Zdobytej twierdzy, lub zburzonych domów.
Była to naga, posępna kotlina,
Cieniem dwóch groźnych wierzchołka piramid
Pokryta. W głębi toń jeziorka sina
I mchu na głazach zielony aksamit.

Zresztą ni trawki, ni krzewu: jedynie
Woda, i głazy, i mchy w rozpadlinie.

Tu na jeziora zeszliśmy wybrzeże,
Między zwalone bryły granitowe,
By obrać sobie ciche na noc leże,
I mech jedwabny podesłać pod głowę
W miejscu, gdzie wielkie głazy pochylone
Od nocnych wichrów dawały osłonę.
Na niebie jeszcze dzień panował biały,
A słońce, góry zasłonięte grzbietem,
Barwiło w szczytach wyzębione skały
Złotem, purpurą albo fioletem.
Czasu dość było do zmierzchu. Usiadłem
Tuż nad zmrożonem jeziorka zwierciadłem,
Co z brzegów w śniegi oprawne i lody,
W dali marszczyło czerniejące wody.
Patrzałem: jako w pracy nieustannej
Fala srebrzystą powłokę podmywa,
Aż tafla lodu dźwięk wydając szklanny,
Pęka i dalej z szelestem odpływa;
Patrzałem: jako na posępnej toni
Kra oderwana krąży wkoło brzegu,
Jak jedna drugą potrąca i goni,
Na trud próżnego skazana obiegu.
I żałowałem, że się próżno kręci,
Przypominając sobie ludzką dolę,
W której, ach nieraz, wszystkie dobre chęci
W zaklętem muszą obracać się kole.

Tymczasem dołem gęstsze cienie rosły,
Bory zsiniały pod mgieł mleczną szatą,
I szczyt nad głową zagasnął wyniosły,
Pobladł i barwę przyjął popielatą.
Wraz z znikającą jasnością promienną
Ostatnie życia uchodziły ślady:
Mrok zwiększył martwość pustkowia kamienną,
I obszar zastygł, posępny i blady,
I swym straszliwym przytłoczył ogromem
Myśli zbłąkane w państwie nieruchomem.
Geniusz tych wyżyn, surowy i groźny,
Powstał z przepaści, mierząc mnie oczyma;
Swego oddechu słał mi powiew mroźny
I naprzód rękę wyciągnął olbrzyma,
Rozpościerając dokoła nademną
Milczenie pustyń, nieskończoność ciemną,
I tę samotność zamarłego świata,
Co dziwnym smutkiem ludzką pierś przygniata:
Samotność, w której milczącym ogromie
Człowiek swą słabość poznaje widomie,
I chce się cofać przed nieznaną mocą,
Przed rozesłaną na przepaściach nocą,
Przed skrytych potęg gwałtownym objawem,
Przed niezbłaganem bezlitosnem prawem,
Przed rozpasanych żywiołów odmętem,
Przed nieświadomem... tajnem... nieujętem...

Uczuciem takiej grozy pokonany,
Między zaciszne powróciłem ściany,

Gdzie towarzysze legli już strudzeni
Na mchu, pod dachem gościnnych kamieni;
I sam złożyłem głowę na posłaniu
W półsennem teraz pogrążon dumaniu.

Noc gęste mroki zapuściła wszędzie;
Nawet błękity niebios przeźroczyste,
Oprawne dołem w czarnych skał krawędzie,
Stały się więcej ciemne, przepaściste,
I tylko ową błękitną ciemnotę
Gdzieniegdzie gwiazdy przetykały złote.
Ciemność rzuciła pomost przez otchłanie
I wyrównała wnętrza gór podarte;
Zostało jedno, wielkie rusztowanie,
Zbitych granitów grzbiety rozpostarte,
Ponad któremi dwie wierzchołka wieże,
Dwa wyniesione ostrokręgi cieniu,
Chwiać się zdawały w niebieskim eterze
Przy migotliwym drżących gwiazd promieniu.
Cisza: a jednak w tej pozornej ciszy
Wsłuchane ucho ciągłe wrzenie słyszy,
Szmer nieustanny, na który się składa
Wszystko, co głosem z życia się spowiada:
I woda, która gdzieś w szczelinie syczy,
I fal powietrza szelest tajemniczy,
I pękających głazów łoskot głuchy,
I wszystkie świata nawpół senne ruchy.

Czasami skała u szczytu wisząca,
Stoczy się na dół i z przeciągłym grzmotem,
O najeżone ściany się roztrąca;
Huk długo echa powtarzają potem,
Aż rozsypany głaz na drobne części
W wąwozie gradem kamieni zachrzęści.

I znowu wszystko wraca do spokoju;
Tylko, jak dawniej, szepczą z sobą góry
Podmuchem wiatru i szemraniem zdroju;
I znowu płynie cicha pieśń natury
W gwiaździste sfery, w przestrzeń nieskończoną,
Gdzie wszystkie pieśni zdążają i toną,
I tam się wiąże, i zlewa, i brata
Z całą harmonią zaziemskiego świata.

W ślad za tą pieśnią myśli moje biegły,
Wyswobodzone z tłoczącej je grozy.
Wolny, choć prawom powszechnym podległy,
Duch mój wstępował na gwiaździste wozy
I tracił z oczu ludzkich istnień chwile
I wydeptany ślad na ziemskiej bryle,
I zapominał o swojej obroży,
I o boleści, co go we śnie trwoży.
On się zanurzył w źródle wiecznie-żywem,
Poruszającem wielkie koło bytu;
Uczuł się jednem łańcucha ogniwem
Rozciągniętego przez otchłań błękitu;

On znalazł wspólne ognisko żywotów
I związek z całym ogromem stworzenia,
Z wieczystym duchem, co mu podać gotów
Rękę z ciemności, albo z gwiazd płomienia:
Więc w rozpostartej na przepaściach nocy
Już opuszczenia nie czuł i niemocy,
I mógł się poddać, jako drobny atom,
Tej twórczej myśli, co przewodzi światom,
I z nieodmiennym zgodzić się wyrokiem,
I odpoczywać, jak pod matki okiem.

LETNI WIECZOR.

Już zaszedł nad doliną
Złocisty słońca krąg;
Ciche odgłosy płyną
Z zielonych pól i łąk.

Dalekie ludzi głosy,
Daleki słychać śpiew,
I cichy szelest rosy
Po drżących liściach drzew.

Promieni gra różana
Topnieje w sinej mgle,
A świeży zapach siana
Skoszona łąka śle.

Wraz z wonią polnych kwiatów,
Z gasnącym blaskiem zórz,
Cicha poezya światów
W głąb ludzkich spływa dusz.

W półcieniu pierś olbrzymią
Podnoszą widma gór:
Nocnemi mgłami dymią,
Wdziewają płaszcze chmur.

I wiążą swoje skrzydła,
Podarty kryjąc stok,
Jak senne malowidła
Powoli toną w mrok.

Wieczoru blask niepewny
Oświetla obraz ten...
Ludzie w zadumie rzewnej
Gonią piękności sen.

PODCZAS BURZY.

Dołem wicher ciężkie chmury niesie,
O skaliste roztrąca urwiska;
Burza huczy po zczerniałym lesie,
I gromami w głąb wąwozów ciska;
A tam w górze, gdzie najwyższe szczyty,
Lśnią pogodne, jak dawniej, błękity.

Ach! tak samo na drogach żywota
Nieraz burza szaleje nad głową,
Wicher nami nad przepaścią miota,
A grom ciemność oświetla grobową;
Jednak wyżej widać błękit nieba...
Tylko wznieść się nad chmury potrzeba.

LIMBA.

Wysoko na skały zrębie,
Limba iglastą koronę
Nad ciemne zwiesiła głębie,
Gdzie lecą wody spienione.

Samotna rośnie na skale,
Prawie ostatnia już z rodu,
I nie dba, że wrzące fale
Skałę podmyły u spodu.

Z godności pełną żałobą
Chyli się ponad urwisko,
I widzi w dole pod sobą
Tłum świerków rosnących nisko.

Te łatwo wschodzące karły,
W ściśniętym krocząc szeregu,
Z dawnych ją siedzib wyparły
Do krain wiecznego śniegu.

Niech spanoszeni przybysze
Pełzają dalej na nowo!
Ona się w chmurach kołysze,
Ma wolne niebo nad głową!

Nigdy się do nich nie zniży,
O życie walczyć nie będzie:
Wciąż tylko wznosi się wyżej
Na skał spadziste krawędzie.

Z pogardą patrzy u szczytu
Na tryumf rzeszy poziomej:
Woli samotnie z błękitu
Upaść strzaskana przez gromy.

WODOSPAD SIKLAWY.

Jakaż to prządka snuje białe nici,
Które wśród głazów migają tak żywo,
Że je zdaleka ledwie wzrok pochwyci?
Jakaż to prządka rozpierzchłe przędziwo
Łowi po skałach strojnych w szarą pleśń?
I z drobnych nitek srebrną wstęgę przędzie,
I przez granitów przewiesza krawędzie,
Nucąc wieczyście jednobrzmiącą pieśń?

To wartki strumień szumiącej Siklawy
Zagarnia wkoło śnieżne ścieki gór;
Na nić swą czarne nawiązuje stawy,
I wiedzie głośny z kamieniami spór.
To potok wzbiera siatką wód pajęczą,
I coraz głębiej pierś wąwozu porze,
I znika w ciemnej gardzieli otworze,
Kończąc krajobraz wodospadu tęczą.

Skromny to potok; a jednak w swym biegu
Tyle piękności naszych gór jednoczy:
Chylą się nad nim ściany pełne śniegu,
I gonią za nim czarnych stawów oczy.
Za nim piętrami spadających wzgórz
Ciągną się gruzem zasłane rozdroża,
Jak falujące a zastygłe morza,
Co skamieniały wśród pierwotnych burz.

Skromny to potok; lecz tak wdzięcznym rzutem
Zamyka wąwóz na błękitów tle,
Tak pięknie ginie w wnętrzu skał rozprutem,
Znikając w tęczach albo w sinej mgle.
Skromny wodospad: nie ma w świecie sławy,
Lecz tak mu pięknie w ukrytej czeluści,
Gdy na wiatr wstęgi srebrzyste rozpuści
Skromny wodospad szumiącej Siklawy.

ULEWA.

Na szczytach Tatr, na szczytach Tatr,
Na sinej ich krawędzi
Króluje w mgłach świszczący wiatr,
I ciemne chmury pędzi.

Rozpostarł z mgły utkany płaszcz,
I rosę z chmur wyciska,
A strugi wód z wilgotnych paszcz
Spływają na urwiska.

Na piętra gór, na ciemny bór
Zasłony spadły sine,
W deszczowych łzach, granitów gmach
Rozpłynął się w równinę.

Nic widać nic: błękitów tło
I całe widnokręgi
Zasnute w cień, zalane mgłą,
Porznięte w deszczu pręgi.

I dzień i noc i nowy wschód
Przechodzą bez odmiany:
Dokoła szum rosnących wód,
Strop niebios ołowiany.

I siecze deszcz i świszcze wiatr,
Głośniej się potok gniewa;
Na szczytach Tatr, w dolinach Tatr,
Mrok szary i ulewa.

MACIEJOWI SIECZCE

PRZEWODNIKOWI W ZAKOPANEM.

Mój przewodniku! tyś mnie wiódł przez góry,
Dając mi poznać ich poezyę świeżą,
Nagą, dziewiczą piękność tej natury,
Nie zeszpeconą mdłych legend odzieżą,
Nie rozdrobnioną na powszednie rysy,
Zdawkowe słowa, zdawkowe opisy.

Tyś ją pojmował swojem sercem prostem
Wiernie, jak staje wyciosana z głazów:
Nie pociągałeś fałszywym pokostem,
Co kryje nicość bezmyślnych obrazów,
Ale umiałeś jędrne znaleźć słowo,
Aby jej wielkość wyrazić surową,

Tyś mnie nauczył czuć ją silniej, lepiej,
Bez wykrzykników i przenośni bladej,
I w dzikich formach, które ona sklepi,
Nie szukać natchnień niemieckiej ballady,
Lecz na nią okiem spoglądać górala,
Co wszystkie wierchy rozpoznaje zdala.

Tyś mnie nauczył, drapiąc się na turnie,
Nie brać przyborów romantycznej muzy,
I na klasycznym nie stąpać koturnie
Przez naszych żlebów kamieniste gruzy,
Ale wesoło, bez zawrotu głowy,
Mijać głęboko wycięte parowy.

Pamiętam, nieraz, siedząc na upłazku,
Rzeźbiłeś słowem Tatr skalisty wątek:
Każdy szczyt w wiernym schwytałeś obrazku,
Każdej doliny koniec i początek,
I piętr górzystych oznaczałeś biegle
Trawiaste kopy i lesiste regle.

Umiałeś kształty każdego olbrzyma
Z gór zębatego grzebienia wydostać,
Wskazać, jak drugich ramieniem się trzyma,
Jaką przybiera z każdej strony postać,
I na swych palcach przedstawiałeś żywo
Każde odrębne łańcucha ogniwo;

Ukazywałeś ciemne wód lusterka
W wgłębieniach, w śniegu błyszczące oprawie,
Siklawy w przepaść skaczące z piąterka,
Wnętrza wąwozów splątanych ciekawie,
Kierunek dolin i strumieni koryt,
Wszystkim właściwy nadając koloryt.

Wszystko, coś mówił, miało więcej wdzięku,
Niż romantyczna daje opisowość,
Bo mówiąc, miałeś pierś natury w ręku,
A każde słowo dziwną miało nowość,
Świeżą poezyę górskiego powietrza,
Dla której rymów i porównań nie trza.

I nie prawiłeś mi spłowiałej bajki
O Dziwożonach, lub zaklętych skarbach,
Lecz dym puszczając z swej króciutkiej fajki,
Juhasów w żywych malowałeś farbach,
Życie w szałasach i życie na hali,
Dolę-niedolę pasterskich górali.

Ich ciemne twarze i kożuszki smolne,
Zgrzebne koszule, ciupagi i pałki,
Więcej mi serce rozgrzać były zdolne,
Niż wszystkie Gnomy, Ondyny, Rusałki,
Co w Tatr poważnych wyniosłym łańcuchu
Tak wyglądają, jak kwiat przy kożuchu.

Żadne się bowiem widmo nie przyswoi
Tej wyniesionej pod niebo pustelni,
Gdzie tylko jeden duch na straży stoi
Bez kształtów, w które chcą go wprządz śmiertelni,
Duch wszechświatowy, duch wód i kamieni,
Co się w milczącej unosi przestrzeni.

Przy nim już niema dla fantazyi tworów
Odpowiedniego miejsca wśród tych wyżyn;
Wielka symfonia turni, hal i borów,
Nie znosi ludzkich trefień i postrzyżyn,
Nie znosi skrzydeł przyprawnych z tektury,
Gdy sama cała wzlatuje do góry.

Ty czułeś dobrze, że wielkość przyrody
Nie potrzebuje bielidła i różu,
Że miło patrzeć na schodzące trzody,
Gdy z gór pędzone w szarym skaczą kurzu,
I że tatrzańskiej polany nie szpeci
W koło szałasu chwast na stosach śmieci.

Tyś czuł, że prawda piękna, chociaż naga,
Gdy jest odczutą silnie a głęboko;
Że tracić musi dzika gór powaga,
Gdy fantastyczną okryć ją powłoką,
I że nie trzeba robić z skał posągów,
Ani wytwarzać różnych dziwolągów.

Tyś czuł, że każda z okolic mieć musi
Swój wdzięk właściwy i wyraz odrębny,
Że Tatrom trzeba bydła, a nie strusi,
Że zapatrzone w niebo wiejskie bębny
Piękne są, tworząc harmonię pastuszą,
Do której trzeba dostroić się duszą.

Twa estetyka prosta, domorosła,
Znała jednakże widnokręgi szersze,
I choć nie byłeś poetą z rzemiosła,
Co mierzy swoje uczucia na wiersze,
Choć nie goniłeś w laur zmienionej Dafne,
Poczucie piękna zawsze miałeś trafne.

I realizmu powszedniego mistrze
Nie mogą ciebie w swej zamieścić szkole,
Boś kochał wszystko jaśniejsze i czystsze,
I nie lubiłeś pozostawać w dole,
Lecz rozumiałeś, że ludziom potrzeba
Piąć się, by wyjrzeć oczami do nieba.

Dobrze więc było mnie pod twoją wodzą
W królestwie głazów dni pogodne przeżyć,
Chwytać wrażenia, jak same przychodzą,
Piersi nieznanem uczuciem odświeżyć,
I w samem źródle piękności i czarów
Ożywczą rosę z śnieżnych pić wiszarów.

Dobrze mi było, idąc za twym śladem,
Zdobywać z trudem mało znane szczyty,
I z rączych kozic spotykać się stadem,
Przeskakującem granitowe płyty,
I na najwyższym ostrej turni zębie
Ogarniać wzrokiem nieprzejrzane głębie.

A chociaż czasem deszcz lał, jakby z cebra,
I trzeba było zmoczonym do nitki
Umykać na dół z skalistego żebra,
By gdzie w szczelinie czas przeczekać brzydki...
Tyś miał w zapasie zawsze myśl wesołą,
Co rozchmurzyła zasępione czoło.

I słodko było gwarzyć z tobą potem,
Po całodziennym spoczywając znoju
Pod rozpostartym błękitów namiotem,
Ponad brzegami jeziorka lub zdroju,
Gdzieśmy budzili krzykiem echa dolin,
I chleb chwytali, głodni, jak Ugolin.

A gdy ostatnie gasły zórz kolory,
Wtedy i nasze przycichły gawędki,
Bośmy słuchali, co szumiały bory,
Co na kamieniach szemrał potok prędki.
Myśmy milczeli... a gwarzyły skały...
I tak wśród marzeń dzień nadchodził biały.

To wszystko jeszcze w mych myślach się kręci,
I wszystkie twoje starania i prace
We wdzięcznej u mnie zostały pamięci.
Więc dług wdzięczności wspomnieniami płacę,
Które, jakkolwiek spełzły na papierze,
Jednak gór tchnienie przechowują świeże.

GIEWONT.

Stary Giewont na Tatr przedniej straży
Głową trąca o lecące chmury:
Czasem uśmiech przemknie mu po twarzy,
Czasem brwi swe namarszczy ponury,
I jak olbrzym w poszczerbionej zbroi
Nad kołyską ludzkich dzieci stoi.

Przez ciąg wieków wznosi dumne czoło,
I wysuwa pierś swą prostopadłą,
Patrząc z góry na wieśniacze sioło,
Co pokornie u nóg jego siadło.
Przez ciąg wieków straż swą nad niem trzyma
Z troskliwością dobrego olbrzyma.

Wypiastował już pokoleń wiele,
Które wieczny związek z nim zawarły,
Z nim złączyły swe losy i cele,
Przy nim żyły i przy nim pomarły,
Nawet myślą z pod jego opieki
Nie wybiegłszy nigdy w świat daleki.

Wypiastował cały ród górali:
On ich widział, gdy dziećmi radośnie
U stóp jego, bawiąc się, pełzali,
Widział młodzież, jak mu w oczach rośnie,
Jak się krząta koło swego plonu,
Widział potem starców w chwili zgonu.

Zna więc dobrze bieg ich trwania krótki,
W ciasnem kółku zamknięte nadzieje,
Ich radości, pragnienia i smutki,
Co ich boli, co im piersi grzeje,
Zna zabiegi i spory gorące
O kęs ziemi na polach lub łące.

On się przyjrzał kolejom powszednim,
I był sędzią już niejednej sprawy:
Nieraz w nocy rozegrał się przed nim
Jaki dramat posępny i krwawy;
Widział różne skryte ludzi czyny,
Widział cnoty, widział także winy.

Lecz choć czoło chmurami powleka,
Zbyt surowo nikogo nie sądzi,
Bo zna dolę biednego człowieka,
Który idąc na oślep, zabłądzi,
I o głodzie wzrok obraca chciwy
Na żyźniejsze swych sąsiadów niwy.

Raczej czuje dla tej biednej rzeszy
Wielką litość w piersi swej kamiennej:
Od kolebki bawi ją i cieszy,
Z każdą chwilą biorąc strój odmienny,
Przed jej okiem stroi się i wdzięczy,
Pożyczając wszystkie barwy tęczy.

Dla niej wstaje w gęstej mgły zasłonie,
Którą zwolna zrzuca z ramion we dnie,
Dla niej w wieczór cały ogniem płonie,
I szarzeje, mroczy się i blednie,
Zawieszając księżyc w swojej szczerbie,
Jakby srebrną Leliwę miał w herbie.

Dobry olbrzym! troszczy się o ludzi,
Co się jego powierzyli straży:
Śpiące dusze z odrętwienia budzi,
I piękności poczuciem je darzy,
I rozrzuca nad dzieciństwa nocą
Pierwsze blaski, które życie złocą.

Tak, jak w baśni: kocha się w pasterce
Dobry olbrzym i dobiera kluczy,
By otworzyć nawpół dzikie serce;
Tak, jak w baśni: swych tajemnic uczy,
Uczy znosić ciężkie losu brzemię,
I miłować swą rodzinną ziemię.

PRZEKŁADY.

HORACY.

1. Lib. Sec. Ode III.

Ad Q. Dellium.

Pomnij zachować umysł niezachwiany
Pośród złych przygód i od animuszu
Zbyt zuchwałego wśród pomyślnej zmiany
Chroń się, gdyż umrzesz, Delliuszu;

Umrzesz, czy smutny przeżyjesz czas cały,
Czy na trawniku zacisznym zasiędziesz
Na dni świąteczne i z piwnic wystały
Swój Falern zapijać będziesz.

Gdzie biała topol z sosną rozrośniętą
Chętnie swe cienie gościnnie zespala,
Gdzie wstrząsać brzegu kotliną wygiętą
Pierzchliwa sili się fala:

Tam rozkaż przynieść i wina i wonie
I kwiaty róży, tak krótkiej trwałości,
Póki wiek, mienie i trzech prządek dłonie
Tej ci dozwolą radości.

Ziem skupowanych ustąpisz, i domu,
I willi, którą żółty Tyber myje;
Ustąpisz: bogactw spiętrzonych ogromu
Dziedzic twój potem użyje.

Czyś bogacz, plemię Inachusa stare,
Czyś biedak, wyszły z warstw najniższych łona,
Niema różnicy: pójdziesz na ofiarę
Bezlitosnego Plutona.

Wszyscy zdążamy tamże: wszystkim z urny
Prędzej, czy później, jeden los wychodzi:
I w kraj wiecznego wygnania pochmurny
Na smutnej wyśle nas łodzi.

2. Lib. Prim. Ode XXX.

Ad Venerem.

O Wenus! Knidu i Pafii królowo,
Porzuć Cypr ulubiony i zstąp do świątyni,
Gdzie Glycera, zwąc ciebie, z kadzideł wciąż nową
Ofiarę czyni.

Niech spieszy z tobą i syn z strzałą w ręku,
I Gracye z rozwianemi przepaski, Nimf chóry,
I młodość, co bez ciebie pozbawiona wdzięku,
I sam Merkury.

PRZEKŁAD

TRZECIEJ PIEŚNI PIEKŁA.

„Przezemnie droga do boleści grodu,
Przezemnie droga na wieczyste męki:
Do zgubionego na zawsze narodu.

„Sprawiedliwości mego Stwórcy dzięki
Ugruntowana przez moc Boską w bycie,
Wyszłam z Mądrości i Miłości ręki.

„Przedemną żadne nie wszczęło się życie,
Prócz odwiecznego, i ja wiecznie stoję:
Rzućcie nadzieję wy, co tu wchodzicie!“

Te słowa oczy napotkały moje
Na szczycie bramy ciemną barwą znaczne,
Gdyśmy przez straszne nadeszli podwoje.

Więc przerażony naraz mówić zacznę:
— „Mistrzu! dlaczego owe słowa ciemne
Takie mnie myśli przywodzą rozpaczne?“

Na to on, rzeczy znający tajemne,
Rzekł: — „Tu należy pożegnać się z trwogą,
Tu zamrzeć winno wszystko, co nikczemne;

„Idziemy bowiem tą, com mówił, drogą,
Gdzie masz zobaczyć, jako cierpią oni,
Co utracili ducha jasność błogą."

To mówiąc, dłoń swą kładzie na mej dłoni
I pogodnemi krzepiąc spojrzeniami,
Do tajemniczej wprowadził mnie toni.

Tu płacz, wzdychania, z głośnemi jękami
Płyną w przestrzeni bez gwiazd, pełnej cienia,
Tak, że je słysząc, zalałem się łzami.

Różne języki, mowy, złorzeczenia,
Słowa boleści, gniewu krzyk szalony,
Zmięszane głosy, rąk klaszczących brzmienia,

Sprawiały wrzawę, co na wszystkie strony,
Wciąż się w powietrzu tem zmartwiałem kręci,
Jak piasek wirem wichru uniesiony.

A ja, bez myśli stojąc i pamięci,
Rzekłem: — „Cóż to jest, co słyszę struchlały?
Co to za ludzie takim bólem zdjęci?"

A mistrz odpowie: — „Taki los dostały
W udziale dusze smutne i mizerne
Tych, co bez hańby żyli i bez chwały;

„Przyszły tu między anioły niewierne,
Które się przeciw Bogu nie zwróciły
I nie szły za nim, lecz zostały bierne:

„Wygnanych z niebios, których piękność ćmiły,
Piekło nie chciało przyjąć w swe otchłanie,
Bo z nich źli chluby nie mają, ni siły."

A ja znów: — „Co tak strasznego w ich stanie,
Że taką burzę podnoszą żałości?"
Mistrz odrzekł: — „Krótko odpowiem: ich trwanie

„Tyle jest marne i pełne podłości,
Że łaknąc próżno śmierci, co wyzwala,
Każdy z nich losu innego zazdrości;

„Ich smutna sława po ziemi się wala,
Przez sprawiedliwość i litość wzgardzona.
Dość mówić o nich: patrz i mijaj zdala."

Patrzę i widzę, jak wirem niesiona
Wielka chorągiew, wciąż się kręcąc, biegła
Niegodna swoje rozwinąć znamiona,

A za nią ludu ciżba tak rozległa,
Iż mi uwierzyć było rzeczą nową,
Że taka liczba śmiercią już poległa.

Gdy rozpoznałem postać tę i ową,
Dostrzegłem także tego cień nieśmiały,
Co przez nikczemność splamił się odmową.

Pojąłem zaraz, że ten orszak cały
Składał się z grzesznych, co, Bogu niemili,
Również niemili wrogom Jego chwały.

Tych nieszczęśliwych, co nigdy nie żyli,
Tu, obnażonych, kłuły straszne roje
Os i komarów, aż się krwią broczyli

I z krwią łzy razem przelewali swoje,
Co tak zmięszane z pod ich nogi chciwie
Wstrętnych robaków połykały zwoje.

Potem, gdy dalej spoglądam w podziwie,
Tłumy nad brzegiem wielkiej widząc fali:
— „Mistrzu — zapytam nieco niecierpliwie —

Co to za jedni? i co ich tak pali,
Że się z pospiechem cisną do przeprawy,
Jak to w mdłem świetle poznaję w oddali?"

A on: — „Wiadome będą ci te sprawy,
Kiedy już nasze zatrzymamy kroki
Nad Acheronu brzegiem smutnej sławy."

Spuściwszy oczy, zamilkłem bez zwłoki,
Trwożny, czy mową przykrości nie czynię...
Do brzegu szedłem w zadumie głębokiej.

A oto ku nam po wodnej głębinie
Starzec, którego kudły ubielone
Siwizną wieków, na łodzi podpłynie,

Wołając: — „Biada! duchy potępione!
Już nigdy niebios widzieć nie będziecie!
Ja was przybywam wieźć na drugą stronę,

„Gdzie między wieczne ciemności pójdziecie,
W wieczyste żary i w wieczyste lody!
Ty zaś, żyjąca duszo, odejdź przecie

„Od tych umarłych i od owej wody."
Lecz widząc, że się nie ruszam, znów rzecze:
— „Przez inne drogi, przez inne przechody,

Do innych brzegów przybędziesz, człowiecze;
Lżejsza łódź w innej przeprawi cię porze."
Wtedy mistrz, swoją rozciągnąwszy pieczę:

— „Charonie! — rzeknie — tak chce Ten, co może
Wszystko, co zechce. A więc uchyl czoła,
Nie pytaj więcej i nie trwaj w oporze."

Poczem się zaraz uciszyły zgoła
Wełniste szczęki sternika otchłani,
Który w swych oczach miał płomienne koła;

Lecz nagim, drżącym duszyczkom w przystani
Odrazu przestrach odjął barwę z liców:
Zębami zgrzytać zaczęli skazani

I przeklinali Boga, swych rodziców,
Ród ludzki, miejsce, i czas, i nasienie
Swego nasienia i jego dziedziców.

Potem zaś wszyscy, płacząc nieskończenie,
Zbiegli się razem nad straszne wybrzeże,
Gdzie dla bezbożnych wspólne przeznaczenie.

Charon ich zaraz płomiennem dostrzeże
Okiem i wiosłem powolnych okłada,
Aż ich tak wszystkich do siebie zabierze.

Jako jesienią liść za liściem spada,
Aż w końcu gałąź pozostanie czarną,
Oddawszy plon swój ziemi, choć nie rada:

Podobnie tutaj złe Adama ziarno
Rzuca się z brzegu, jedno drugie goni,
Jak ptaki, co się do odlotu garną,

I tak wędrują po brunatnej toni;
A zanim jedno stąd odejdzie mrowie,
Znów nowy szereg stamtąd się wyłoni.

— „Synu mój — do mnie mistrz uprzejmy powie —
Ci, co w niełasce umierają Bożej,
Wszystkich stron świata schodzą tu synowie

„I owe wody przebywać są skorzy;
Bo sprawiedliwość tak ich prze surowa,
Że pragną właśnie tego, co ich trwoży.

„Dobry duch tutaj, to rzecz całkiem nowa!
Więc przeto Charon z gniewem cię wspomina:
Lecz ty już poznasz, jak brzmi jego mowa.

Skończył; a cała przeklęta kraina
Tak się trząść zacznie, że dziś jeszcze z trwogi,
Gdy wspomnę, dreszcz mnie przechodzić zaczyna.

I z tej łez ziemi wicher wyszedł srogi,
I blask rozniecił ohydny, czerwony,
Co wszelkie czucie odjął mi wśród drogi:

Żem padł, jak człowiek od snu zwyciężony.

PETRARCA.

Sonet CXXIII.

Widziałem tu na ziemi anielskie uroki
I niebiańskie piękności, jedyne bez skazy;
Gdy wspomnę, czuję rozkosz, razem ból głęboki,
Bo pierzchają z przed oczu, jak senne obrazy.

Widziałem światła, przez łez patrzące obłoki,
Których blask zazdrość słońca budził tyle razy,
I słyszałem płynące w westchnieniach wyrazy,
Zdolne poruszać góry, powstrzymać potoki.

Miłość, rozum i cnota, tkliwość i cierpienie
W taką słodką harmonię w płaczu się zlewały,
Jakiej usłyszeć ziemskie nie zwykły przestrzenie,

I tak się w tę harmonię wsłuchiwał świat cały,
Że na gałązkach nawet listki się nie chwiały,
A słodycz wypełniła każde wiatru tchnienie.

GIORDANO BRUNO.

Sonet.

(Wyjęty z „Gli eroici furori".

Za Parnas własne serce wystarczyć mi może,
Gdy, uchodząc nieszczęścia, dumnie na niem stanę:
Myśli moje, to Muzy, które w każdej porze
Czynią mi przytomnemi wszystkie cuda znane;

Tam są zaś me najczystsze helikońskie zdroje,
Skąd się biorą łzy hojnie na świat wylewane.
Te wyżyny, te Muzy, te zdroje mam: przeto,
Za wolą niebios, jam się urodził poetą.

Nie przez królów zostałem wieńcami pokryty,
To nie ręka życzliwa samego cesarza,
To nie najwyższy pasterz łaską mnie obdarza,

Dając mi przywileje, ozdoby, zaszczyty;
Ale laurem to czoło pokryły na wieki
Me serce, moje myśli, i łez moich rzeki.

SHELLEY.

I. Chmura („The Cloud").

I.

Świeże ulewy
Na spragnione krzewy
Przynoszę z morza lub rzeki;
Dostarczam cieniu
Listkom, co w znużeniu
Wśród dziennej spoczęły spieki.

Na skrzydłach niosę
I otrząsam rosę,
Budząc tłum pączków uroczy:
Śpiące gromadki
Na piersiach swej matki,
Co wkoło słońca się toczy.

Gradami zionę
I łąki zielone
Pokrywam białym całunem;
W deszcz je przemienię
I mknąc już w przestrzenie
Znów się uśmiechnę piorunem.

II.

Śniegiem zawieję
Gór lesiste knieje,
Aż sosny gną się i dyszą,
I na noc całą
Mam poduszkę białą,
Gdy wichry śpiącą kołyszą.

W górze, u szczytu
Mej wieży z błękitu,
Tam błyskawica ster trzyma;
W otchłani, w dole,
Grom wzięty w niewolę
Z swych więzów rwie się i zżyma.

Z lądów na morza
Wiedzie mnie w przestworza
Ten mój przewodnik ognisty,
Co rozkochany
W duchach mgły i piany
Ściga je w toni falistej.

Wszędzie on z niemi
Na niebie i ziemi
Brata się jawnie lub skrycie,
Śląc im z przestrzeni
Swój całus z płomieni,
Gdy ja się grzeję w błękicie.

III.

Gdy w krwawej zorzy
Wschód oczy otworzy,
Zgasiwszy gwiazdy już senne...
Wskakuje nagle
Na me wzdęte żagle,
Roztacza pióra płomienne,

Jak orzeł, który
Gdzieś na zrębie góry,
Co nad przepaścią się chwieje,
Zawisłszy w locie,
Przez kilka chwil w złocie
Otwartych skrzydeł jaśnieje.

A gdy z nad morza
Tchnie zachodu zorza
Ciszą, miłością, rozkoszą;
Gdy płaszcz z purpury
Pada na dół z góry
A z dołu cienie się wznoszą:

Ja skrzydła złożę
W błękitów przestworze,
Piór szarych pochowam rąbki,
I, w gniazdko mroczne
Uleciawszy, spocznę
Nakształt drzemiącej gołąbki.

IV.

Ta srebrzysto-lica
Błękitów dziewica,
Zwana księżycem na ziemi,
Połyskując, sunie
Po mem wiotkiem runie,
Wzdętem powiewy nocnemi.

A gdzie w mym namiocie
W cichym stóp swych locie,
Co słyszą tylko anioły,
Przerwie tkankę cienką,
Zaraz przez okienko
Tłum gwiazd przegląda wesoły.

Ja, widząc, jak chyże
Przelatują w wirze,
Niby złocistych pszczół roje,
Z uśmiechem rozwinę
Namiotu szczelinę:
Aż morza, jeziora, zdroje,
Jak strzępki błękitu
Strącone ze szczytu,
W księżyc i gwiazdy przystroję.

V.

Ja owijam słońce
W wstęgi gorejące,
Księżyc — w przepaski tęcz sine;
Wulkany się mroczą,
Gwiazdy drżą, migoczą,
Gdy ja swój sztandar rozwinę.

Z lądu na ląd śmiele
Pomostem się ścielę
Przez mórz wzburzone obszary;
Nie puszczam promieni
Przez mój dach w przestrzeni
Oparty o gór filary.

Tryumfalna brama,
Co powstaje sama
Na me zwycięzkie przybycie,
Gdy z burzą i gromem
Kroczę nad poziomem,
To tęczy barwne odbicie.

Słońca glob ognisty
Tka jej wzór przejrzysty
I łuk świetlany napina,
Podczas gdy zroszona,
Łzy strząsając z łona,
Śmiać się znów ziemia poczyna.

VI.

Duchy wód i ziemi:
Rodzicami memi,
Piastunką: przestrzeń powietrzna;
Przenikam w obiegu
Tkań morza i brzegu,
Wciąż zmienna, a jednak wieczna.

Choć z deszczową rosą
Wiatry mnie rozniosą
I w górze istnieć przestanę;
Choć słońca promienie
Błękitów sklepienie
Bez skaz utkają świetlane:

Ja z swego pogrzebu
Wzlatuję ku niebu
Z jaskini deszczów ukrytej;
Jak duch z grobu łona
Nowo-narodzona
Przesłaniam znowu błękity.

2. Ozymandyas.

Podróżnik, wracający z starożytnej ziemi,
Rzekł do mnie: — Nóg olbrzymich z głazu dwoje [sterczy
Wśród puszczy bez tułowia. W pobliżu za niemi
Tonie w piasku strzaskana twarz. Jej wzrok szy- [derczy,

Zacięte usta, wyraz zimnego rozkazu
Świadczą, iż rzeźbiarz dobrze na tej bryle głazu
Odtworzył skryte żądze, co, choć w poniewierce,
Przetrwały rękę mistrza i mocarza serce.

A na podstawie napis dochował się cało:
„Ja jestem Ozymandyas, król królów. Mocarze!
„Patrzcie na moje dzieła i przed moją chwałą

„Gińcie z rozpaczy!“ Więcej nic już nie zostało...
Gdzie stąpić, gruz bezkształtny oczom się ukaże
I piaski bielejące w pustyni obszarze.

LONGFELLOW.

I. Excelsior.

Szybko zapadał wieczorny mrok;
Alpejskiem siołem przez górski stok
Szedł młodzian, niosąc w śniegu i lodzie
Sztandar z tem dziwnem godłem na przodzie:
Excelsior!

Czoło miał smutne, ale z pod brwi,
Jakby miecz z pochwy, oko mu lśni;
Jak srebrnej fletni głos kryształowy,
Dźwięczny ton jego nieznanej mowy;
Excelsior!

Widzi on światła szczęśliwych chat,
Jasny i ciepły domowy świat;
Nad nim lodowców groźne widziadła,
Więc smutna skarga z ust się wykradła:
Excelsior!

„Nie próbuj przejścia!“ — rzekł starzec doń —
„Burza nad głową, potoku toń
„W'ezbranym nurtem huczy w parowie!“
Na to donośny głos ten odpowie:
Excelsior!

„Stój! — rzekło dziewczę — zmęczoną już
„Na mojej piersi głowę swą złóż!“
Łza w modrem oku błysła promieniem;
Lecz odpowiedział tylko westchnieniem:
Excelsior!

„Strzeż się gałęzi, idąc przez bór,
„Strzeż się lawiny, lecącej z gór!“
Tem go wieśniacy słowem żegnali...
A głos im odparł na górze w dali:
Excelsior!

O świcie, kiedy niebieska straż
Uczniów Bernarda, chyląc swą twarz,
Zanosi w niebo modły gorące,
Ten okrzyk przedarł powietrze drżące:
Excelsior!

Wędrowca wierny odnalazł pies:
On w śnieżnej zaspie znalazł swój kres;
Lecz trzyma jeszcze w ręku skostniałem
Ten sztandar z godłem dziwnem a śmiałem:
Excelsior!

Tam w szarem świetle porannych zórz,
Martwy, lecz piękny, spoczywa już,
A z toni niebios, pogodą tchnącej,
Głos nakształt gwiazdy mknie spadającej:
Excelsior!

2. Wiejski kowal.

Pod rozłożystym stoi kasztanem
Kuźnia wśród wiejskiej ustroni;
Silny, barczysty kowal w niej panem
O grubej, żylastej dłoni,
A jego ramion mięśnie stalowe
Potrafią złamać podkowę.

Włos kędzierzawy, czarny i długi,
Twarz jego jak dębu kora;
Po czole potu spływają strugi
Od rana aż do wieczora:
Lecz patrzy dumnie z swojego domu,
Gdyż nic nie winien nikomu.

Przez cały tydzień z pod jego strzechy
Słychać gwar dziennej roboty,
Słychać sapiące powietrzem miechy
I spadające w takt młoty,
Które tak dźwięczą czysto i śmiele,
Jak dzwony w blizkim kościele.

Powracająca dziatwa ze szkoły
Przez drzwi zagląda z rozkoszą:
Bawi ją widok ognia wesoły
I miechów, co się podnoszą,
I pryskających na wszystkie strony
Iskier ze sztaby czerwonej.

W niedzielę za to, w skupieniu ducha
Czeladce on towarzyszy,
Świątecznych modłów i kazań słucha;
A kiedy śpiewy posłyszy,
Głos córki w świętem poznając pieniu,
W głębokiem duma wzruszeniu.

Tensam, co matka, głos ma dziewczyna;
Lecz matka śpiewa u Boga...
Więc z rozrzewnieniem o tej wspomina,
Co jeszcze w grobie mu droga,
I szorstką dłonią ociera oczy,
Skąd łza po twarzy się toczy.

Tak w trudzie, w smutku, cichem weselu,
Przez życie idzie swym torem;
Rano zadanie świeże na celu,
A koniec pracy wieczorem;
I co dzień świeże zbierając żniwo
Na noc zarabia szczęśliwą.

O, przyjacielu, przyjm dziękczynienia
Za tę naukę nam daną:
Tak w kuźni życia pośród płomienia
Do pracy wstawać trza rano
I każdy zamiar, każdy czyn potem
Pod twardym urabiać młotem.

TENNYSON.

Tithonus.

Lasy butwieją, lasy padają i giną,
Obłoki wypłakują łez swoich brzemiona,
Człowiek orze swe pole i pod niem się kładzie,
Po kilku wiosnach łabędź kończy swoje trwanie:
Mnie jednego okrutna nieśmiertelność trawi:
Ja więdnę wciąż powoli w twych boskich objęciach,
Tu na cichej granicy dalekiego świata;
I mój cień siwowłosy wędruje jak mara
Przez te przestrzenie wschodu senne i milczące,
Przez mgieł zwoje i lśniące przedsienia poranku.

Niestety! ten cień siwy był niegdyś człowiekiem
Tak dumnym z swej piękności i z twego wyboru —
Co go zrobił wybranym — że w swem wielkiem [sercu,
Nie chcąc być niższym, sam się uznawał za boga!

Ja żądałem od ciebie: „Daj mi nieśmiertelność",
A tyś się przychyliła do życia z uśmiechem,
Jak bogacz, który nie dba o to, co rozdaje;
Lecz surowe godziny gniewną wszczęły pracę
Przeciw mnie, i złamały, skaziły, zepsuły,
A nie mogąc mnie dobić, zostawiły nędzne
W obliczu nieśmiertelnej młodości kalectwo:
Wieczystą starość obok wieczystej młodości!
I stałem się popiołem. Czyliż to naprawić
Twoja miłość i piękność zdoła nawet teraz,
Gdy tuż nad nami srebrna gwiazda, twój przewodnik,
Oświeca w twoich oczach łzy, które wylewasz
Na głos mój? Pozwól umrzeć, dar swój weź ode
[mnie:
Pocóż ma pragnąć człowiek, aby w jaki sposób
Wyróżniał się od ludzi pokrewnego rodu
Lub mijał przeznaczoną od losów ciemnicę,
Gdzie dla wszystkich spoczynek, dla wszystkich
[spotkanie!
Łagodny wietrzyk chmury jak wachlarz rozwija;
Przez nie przegląda ciemny świat ten, gdziem
[zrodzony.
Znów się wykrada dawny, tajemniczy połysk
Z twego czystego czoła i z twych czystych ramion,
I z łona bijącego odnowionem sercem;
Twe lica różowieją przez mroki rumieńcem;
Twe wdzięczne oczy zwolna jaśnieją tuż przy mnie,
Zanim zagaszą gwiazdy; zaprząg twych rumaków,
Chciwy jarzma, z miłością ku tobie wzlatuje

I otrząsa ciemności z swych grzyw rozpuszczonych,
I z rannych zmierzchów krzesze ogniste iskierki.
Widzisz, oto i teraz stajesz się piękniejszą,
Gdy milczysz i opuszczasz mnie bez odpowiedzi,
Zostawiając mi tylko łzy na mojej twarzy.

Czemu tak zawsze chcesz mnie straszyć swemi
[łzami?
Czemu chcesz, bym drżał, myśląc, że jest może
[prawdą
W dniach minionych na ziemi posłyszane zdanie:
„Bóstwa same nie mogą odwołać swych darów?"

O biedny! stokroć biedny! w dniach minionych
[dawno
Z innem sercem, niż teraz, innemi oczami
— Jakby zupełnie nie ten, co dzisiaj — śledziłem
Świetlany wkoło ciebie tworzący się zarys
I mgliste loki coraz słoneczniej płonące;
Mieniąc się w ślad za tobą, czułem jak krew moja
Żarzy się żarem, który czerwienił powoli
Twój pałac wpół otwarty; czułem wtedy leżąc,
Usta moje i czoło ocieplone rosą
Tych pocałunków, które wonniejszemi były
Od ledwie rozwiniętych pączków dni wiosennych,
I mogłem słyszeć z ust tych, co mnie całowały,
Jakiś szept nieujęty, namiętny a słodki,
Podobny do cudownej pieśni Apollina,
Od której Ilion w niebo wytrysnął wieżami.

Teraz już mnie nie trzymaj w swem królestwie wschodu!
Wszak stan twój dłużej z moim nie może iść w parze!
Już mnie chłodem przejmują twe różowe cienie,
Już są zimnemi dla mnie wszystkie twoje światła,
I zwiędłe moje stopy na twym lśniącym progu
Lodowacieją zwolna, gdy się mgły podnoszą
Nad polem, wkoło domostw tych szczęśliwych ludzi,
Którzy mogą umierać, i wkoło porosłych
Trawą mogił, szczęśliwszych jeszcze, co pomarli.
Puść mnie, i powróć ziemi, do której należę!
Widzisz wszystko: więc będziesz i grób mój widziała,
Co poranku swą piękność odnawiając wieczną,
Ja, proch w prochu, zapomnę o tych sferach próżnych
I o tobie, na srebrnych wracającej kołach.

RÜCKERT.

Die Weisheit des Brahmanen.

Z ks. pierwszej.

38.

Złą dolę znoś jak dobrą, mając to na względzie,
Że gdy będziesz źle znosił, gorzej ci z tem będzie.

Gdy cię przyjaciel zrani, przebacz, przekonany,
Że sam cierpi: inaczej nie zadałby rany.

Gdy znajdziesz cierń w miłości, kochaj jeszcze [wierniej:
Że masz różę przy sobie, poznajesz to z cierni.

Z ks. drugiej.

4.

Najszlachetniejszy kamień jest ten, który kraje
Wszystkie inne, a siebie zrysować nie daje.

Najszlachetniejsze serce jest to, które właśnie
Raczej da się skaleczyć, niż samo zadraśnie.

Z ks. siódmej.

27.

Jak dziecko, które ze snu oczęta otworzy,
A drgnąwszy, zaraz główkę spokojnie położy,

Ujrzawszy twarz swej matki w przebudzenia chwili
Która czuwając nad nią z miłością się chyli:

Tak szczęśliwy, kto w życia ziemskim śnie spoczywa
I gdy, wznosząc wzrok w niebo, na chwilę się zrywa,

Widzi niebieską matkę, co, z błękitów fali
Uśmiechając się, mówi: „Ja czuwam... śpij dalej!“

Z ks. dziesiątej.

3.

Poezya będzie dzieci chorobą w przyszłości,
A umiejętność tylko znakiem dojrzałości.

Chłopcem każdy odrobi melodram poety,
Mężem bez wzruszeń serca będzie szedł do mety.

Wtenczas ludzkość w największą powagę się wzbije...
Lecz mnie cieszy, że owych czasów nie dożyję.

86.

Gdy gardzisz poprzedników myślami wszystkiemi,
Jak chcesz, by myśl twą potem ważono na ziemi?

Nawet nie możesz wiary mieć we własne zdania,
Kiedy do myśli ludzkiej nie masz zaufania.

Z ks. dwunastej.

32.

Wędrowiec wśród pustyni spotkał łączkę małą,
Gdzie na murawie piękne drzewo wyrastało;

A pod stopami drzewa zdrój wytryskał cichy
I kwiat nad czyste fale zwiesał swe kielichy;

Na drzewie ptaszek głośnym odzywał się śpiewem.
Wędrowiec wypoczywał z rozkoszą pod drzewem

I rzekł: „Próżno ptak śpiewa i zakwita kwiecie
W tej pustce, gdzie się niemi nikt nie cieszy przecie."

Wtem bóstwo, mieszkające w drzewie, rzekło zlekka:
„Wędrowcze! któryś do mnie przybył tu z daleka,

„Nie próżną piękność kwiatu, pieśń ptaka; gdyż [obie
„Mnie służą; a gdyś spoczął przy mnie, więc [i tobie."

Z ks. trzynastej.

45.

Drzewo, gdy ptaszek siedzi, ciężaru nie czuje,
Lecz zachwieje się gałąź, gdy on odlatuje:

Tak ty nie czujesz szczęścia, gdy w twych pier- [siach gości,
Lecz gdy uleci, czujesz utratę radości;

Tak świat zacnych człowieka dążeń nie spostrzeże,
Póki z świata powierzchni śmierć go nie zabierze.

Z ks. czternastej.

58.

Doskonałych i świętych kochać mi najtrudniej:
Byliby niewygodni i byliby nudni.

Tak, jak są, kocham ludzi: słabych, zaślepionych,
Jednostronnych, ułomnych i ograniczonych;

Tak się przedstawiających kocham ich na świecie,
I tak ich przedstawionych chcę znaleść w poecie.

Gdy innych mi ukaże świat, to ich w pokorze
Znieść muszę; lecz gdy książka, na bok ją odłożę.

Z ks. piętnastej.

26.

Stoi skała na drodze; gdy stoisz przy skale,
Że może być czem innem, nie posądzisz wcale.

Lecz gdy miniesz i na nią spoglądasz z daleka,
Wtedy głaz ci ukaże kształt twarzy człowieka.

Jak z tą skałą, tak z panem niejednym się zdarzy,
Że tylko w oddaleniu ma kształt ludzkiej twarzy.

38.

Sztuka, jak to widzimy z jej historyi wątku,
Skromnem tylko rzemiosłem była na początku.

Teraz sztuka, co dumnie i wysoko wzrosła,
Nie schodząc ku skromności, zeszła do rzemiosła.

Kto walczy z duchem czasu, ten się próżno trudzi,
Zyskując miano głupca u współczesnych ludzi.

Jednak mu przyszłość może odwet przysposobić
I chwilowego głupca wiecznym mędrcem zrobić.

Spocząłeś na noclegu, przy rwącej rzeki biegu;
Usypia ciebie fala, co brzeg podmywa w biegu.

Wiatr ci ochładza skronie, przynosi kwiatów wonie,
Nim z oderwanem łożem wir wodny cię pochłonie.

Czyliż mam budzić ciebie? Czyliż mam straszyć ciebie?
Śpij słodko: niech w marzeniach fala cię pogrzebie.

HEINE.

1. Lyrisches Intermezzo.

XXXII.

Najsłodsza ma, gdy zejdziesz w grób,
Gdy w ciemnym legniesz już grobie,
Ja wtedy zstąpię do twych stóp,
Sam się przytulę przy tobie.

Całuję, w objęcia przyciskam cię swe:
Ty cicha, ty zimna, ty biała!
To płaczę z rozkoszy, to z bólu znów drżę,
Aż martwe zostaną dwa ciała.

Umarli powstają: już północ ich zwie,
I tańczą powietrznym swym rojem;
My dwoje zostajem w grobowym swym śnie,
Ja leżę na sercu, na twojem.

Umarli powstają na straszny ów sąd
Do niebios, lub w morze płomieni;
My, na nic nie bacząc, nie ruszym się stąd,
Wieczystym uściskiem złączeni.

LV.

Oto płakałem we śnie:
Śniłem, żeś w grobie spoczęła.
Choć się zbudziłem... łza dalej
Z lic moich na dół płynęła.

Oto płakałem we śnie:
Śniłem, żeś ty mnie zdradziła.
Choć się zbudziłem... ach, długo
Gorycz się we łzach sączyła.

Oto płakałem we śnie:
Śniłem, że kochasz mnie stale.
Choć się zbudziłem... wciąż jeszcze
Łez moich spływają fale.

2. Neuer Frühling.

VI.

Zlekka słodkie po mej duszy
Przeciągają tony:
Dźwięcz, wiosenna piosnko mała,
Dźwięcz w dalekie strony.

Gdzie dom pełen świeżych kwiatów,
Zdążaj potajemnie,
A gdy różę tam zobaczysz,
Pozdrów ją ode mnie!

XXIII.

Jak księżyca odblask drżący
Drży w wzburzonych falach morza,
On zaś idzie cicho, pewno
Przez niebieski krąg przestworza:

Tak ty idziesz, ukochana,
Cicho, pewno w sercu mojem,
Drży zaś tylko twe odbicie,
Drżące serca niepokojem.

3. Helena.

Tyś mnie przez zaklęć swoich czar
Z grobu do siebie przywołał,
Rozkoszných pragnień wzniecił żar,
A żaru zgasić nie zdołał.

Przyciśnij usta do mych ust:
Niech pierś tchnień boskich zachwyci!
Wypiję całą duszę twą:
Umarłych nic nie nasyci!

UHLAND.

1. Der gute Kamerad.

Miałem ja towarzysza:
Lepszego nie znajdziesz, nie!
Gdy bębny do boju grzmiały,
Krok w krok na polu chwały
Szedł razem obok mnie.

Wybiegła na nas kula...
Czy mnie, czy tobie zgon?
Ach! jego mi wyrwała
Jak część mojego ciała:
U nóg mych pada on!

Wyciąga do mnie rękę,
Gdy trzeba spieszyć w bój:
„Ręki ci dać nie mogę;
Idź na wieczności drogę,
O, towarzyszu mój!“

2. Des Sängers Wiederkehr.

Na marach śpiewak złożył głowę,
Z ust bladych piosnka nie uleci...
Rzucono lauru liście płowe
Na czoło, gdzie już myśl nie świeci.

Zwoje ostatnich pieśni pewnie
Trzyma on jeszcze w skrzepłem ręku,
A lutnia, co tak brzmiała śpiewnie,
Spoczywa przy nim, lecz bez dźwięku.

Tak śpi głęboko, a ton pieśni
Drży jeszcze w uchu jego braci:
Więc każdy czuje tem boleśniej,
Że lud takiego mistrza traci!

Mijają dnie, miesiące, lata;
Cyprysy grób mu uwieńczyły;
Ci, których zgryzła jego strata,
Sami już zeszli do mogiły:

Lecz, jako wiosny wdzięk miniony
Znów wraca świeży i uroczy:
Tak śpiewak w grobie odmłodzony
Przez kolej nowych czasów kroczy.

Znów się wśród żywych rozpłomienił,
I nie czuć w nim grobowej pleśni;
Świat dawny, co go zmarłym mienił,
Sam żyje tylko w jego pieśni.

CHARLES D'ORLÉANS.

Le Renouveau.

Wysłańcy lata przybyli
Urządzić jemu komnaty;
Już je kobiercem pokryli,
Utkanym w perły i kwiaty.
Więdnącym w smutku i nudzie
Sercom już jaśniej i milej:
W świat boży ruszajcie, ludzie,
Jużeśmy z zimą skończyli!

Czas zrzucił szare odzienie,
Płaszcz wichrów, chłodów i słoty,
I przywdział słońca blask złoty,
Hafty i drogie kamienie.

Słychać już ptasząt świergoty,
Cieszy się każde stworzenie
I woła pełne ochoty:
Czas zrzucił szare odzienie,
Płaszcz wichrów, chłodów i słoty.

Rzeki, strumienie i zdroje
Świąteczne noszą już stroje;
Na nich misternej roboty
Srebrnych kropelek klejnoty;
Wszystko się stroi nanowo:
Czas zrzucił odzież zimową,
Płaszcz wichrów, chłodów i słoty.

SPIS TREŚCI T. II.

Str.

SEN GROBÓW.

Sen grobów I—II 7
Epilog 37
Odpoczywa (I—VIII) 42
Wierzba na pustkowiu 53
Na pobojowisku 58
Przeminął czas 65
Powrót do domu 69
Król Juba 73
Ociemniały Thamyris 78
Baśń tęczowa 87
Z egipskiego rytuału zmarłych 92
Lykofron do fatum 96
Bóstwo tajemnicze 100
Na zgon poezyi 104
Sam na sam 108
Teatr w Tusculum 111
Dwa anioły 115
Czarodziejka 117
Tantal 120
Epaminondas 123

Str.
Odpowiedź przeszłości 125
Oda 129
Do młodych 133
Kantata na jubileusz J. I. Kraszewskiego 135
W ciemności grobu 138
Chór Oceanid 139
Uśmiech 141
Zapustny obrazek 143
Przy kominku 145
Światła 147
Dzisiejszym idealistom 148
Napad na Parnas 150
Kwiaty i chwasty 160
Pokora poetów 161
Uczeni 162
Ironia 163
Marnotrawcom 164
W albumie 165
Ciche wzgórze 166
Na grobie Wincentego Pola 168
Egzotyczne kwiaty 170

ALBUM PIEŚNI.

Preludyum 175
Najpiękniejsze piosnki 177
W zimowej nocy 179
Rozłączenie 182
Łabędzi śpiew 185
Ucisz się serce! 188
Dlaczego wicher tak wyje? 191
Mgławice 193
Daremne żale 196
Zaczarowana królewna 197
Za moich młodych lat 198

Str.
Ból zasnął 199
Jestże to prawdą? 201
Barkarola 203
Na początku 205
Szczęśliwa młodość 207
Miłość jak słońce 208
W wieczny cień 210
Nieśmiertelni 212
Panieneczka 214
Gdy ostatnia róża zwiędła 216
Kopciuszek 217
Astry 218
Tym, którzy smutni 220
Dałam ci moc 221
Dzieje piosenki 223
Nie mów 225

W TATRACH.

Wstęp 229
Ranek w górach 234
Kościeliska 237
Noc pod Wysoką 240
Letni wieczór 246
Podczas burzy 248
Limba 249
Wodospad Siklawy 251
Ulewa 253
Maciejowi Sieczce 255
Giewont 262

PRZEKŁADY.

Horacy. Ad Q. Dellium 267
Ad Venerem 269
Dante. Trzecia pieśń Piekła 270

Str.
Petrarka. Sonet CXXIII. 277
Giordano Bruno. Sonet 278
Shelley. Chmura 279
Ozymandyas 285
Longfellow. Excelsior 286
Wiejski kowal 289
Tennyson Tithonus 292
Rückert. Z księgi mądrości 296
Heine. Lyrisches Intermezzo 302
Neuer Frühling 305
Helena 307
Uhland. Der gute Kamerad 308
Des Sängers Wiederkehr 309
Charles d'Orléans. Le Renouveau 311

PG
7158
A9
1916
t.2

Asnyk, Adam
Pisma

PLEASE DO NOT REMOVE
CARDS OR SLIPS FROM THIS POCKET

UNIVERSITY OF TORONTO LIBRARY